

# PODZIAŁ OSTATECZNY

*C. S. Lewis*

Tytuł oryginału

THE GREAT DIVORCE

First published in English in 1952 by Geoffrey Bles, in 1955 by Fontana Books in 1955 and in 1977 by Fount Paperbacks, an imprint of Harper-Collins Publishers.

## Wstęp

Blake napisał kiedyś *Zaślubiny Nieba z Piekłem*, a ja zdecydowałem się napisać o ich rozwodzie nie dlatego, że uważam się za godnego przeciwnika tak wielkiego geniusza, jakim był Blake, ani nawet dlatego, że zrozumiałem choćby po części jego dzieło. Wydaje mi się jednak, że nadzieja dokonania podobnych zaślubin musi tak czy inaczej okazać się płonna. Nadzieja ta opiera się na założeniu, że rzeczywistość nigdy nie każe nam stanąć twarzą w twarz z nieuniknionym „albo — albo” i że, o ile nie zabraknie nam umiejętności, cierpliwości, a nade wszystko czasu, zawsze zdołamy jakoś pogodzić obie skrajności. Nadzieja ta każe nam sądzić, że wystarczy udoskonalić, zaadoptować lub uszlachetnić zło, aby przemieniło się ono w coś dobrego i że nie będziemy nigdy zmuszeni do odrzucenia tego, co chcielibyśmy zatrzymać. Według mnie żywienie podobnej nadziei jest katastrofalną pomyłką. Wyruszając w podróż, nie zawsze zabieramy ze sobą cały swój dobytek, a czeka nas i taka podróż, w którą być może nie będziemy mogli *zabrać* nawet własnej prawej ręki lub prawego oka. Nie żyjemy w świecie, w którym wszystkie drogi niby promienie okręgu schodzą się w jednym punkcie i gdzie po wyborze którejkolwiek z nich zawsze dojdzie się po wytrwałej wędrówce do tego samego celu. W naszym świecie każda droga po pewnym czasie rozwidła się, a *każda* z powstałych w ten sposób dróg rozwidła się ponownie i na każdym z takich rozwidleń.

musimy podejmować decyzje. Nawet życie biologiczne bardziej przypomina rozgałęziające się drzewo niż stojącą sadzawkę — nie zmierza ono ku jedności, ale oddala się od niej, a im wyższy stopień rozwoju, tym bardziej stworzenia różnią się między sobą. Prawdziwe dobro w miarę jak rośnie i osiąga dojrzałość, coraz bardziej różni się nie tylko od zła, ale także od innego, pozornego dobra.

Nie sądzę, że wszyscy wybierający złe drogi muszą *zginąć*. Uważam jednak, że ratunek dla nich jest tylko jeden: powrót na właściwą drogę. Otrzymawszy zły wynik dodawania, możemy go poprawić tylko wtedy, gdy cofniemy się do miejsca, gdzie popełniliśmy pomyłkę, i zaczniemy liczyć od nowa. Na nic się nie zda brnięcie w błędnych obliczeniach. Zło może zostać zniweczone, ale nie może „rozwinąć się” w coś dobrego. W tym wypadku czas nie jest dobrym lekarzem. Zły czar można przełamać „mrużanym wspak zaklęciem pełnym mocy” albo pozwolić, by działał dalej. Jest to wciąż wybór „albo — albo”. Jeśli zechcemy zatrzymać piekło (lub choćby ziemię), nie ujrzymy nieba, a jeśli przyjmujemy niebo, nie zabierzemy z piekła nawet najmniejszych i najbardziej osobistych pamiątek. Wierzę, rzecz jasna, że każdy, kto osiągnie niebo, przekona się, iż pomimo odrzucenia wszystkiego (nawet własnego oka), niczego nie stracił: że to, czego naprawdę pożył w swoich najpodlejszych nawet pragnieniach, czeka na niego w „Górnej Krajinie” o wiele wspanialsze niż to, czego się spodziewał. W tym sensie dla tych, którzy doszli do końca drogi (i dla nikogo innego), powiedzenie, że dobro jest wszystkim, a niebo jest wszędzie, okaże się zgodne z prawdą. Nam jednak, którzy wciąż jeszcze jesteśmy w podróży, nie wolno przyjmować ich punktu

widzenia. Moglibyśmy bowiem narazić się na niebezpieczeństwo przekręcenia prawdziwego znaczenia ich słów i uznać, że wszystko jest dobre, a każde miejsce jest niebem.

A co z ziemią? — zapytacie zapewne. Nie sądzę, by ziemia okazała się dla kogokolwiek miejscem wyjątkowym. Jeśli wybierzemy ją zamiast nieba, wyjdzie na jaw, że ziemia *zawsze* była częścią piekła. A jeśli niebo postawimy wyżej, okaże się, że ziemia *zawsze* do niego należała.

Chciałbym powiedzieć jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, muszę wyrazić moją wdzięczność wobec pisarza, którego nazwiska nie pamiętam, a którego opowiadanie czytałem wiele lat temu w bardzo kolorowym czasopiśmie z dziedziny — jak to mówią — „fantastyki naukowej”. Zapożyczyłem od niego tę niezwykłą właściwość niebiańskiej materii — to, że niczego nie da się tam zgąć ani złamać. Autor opowiadania wykorzystał ten efekt, aby osiągnąć inny cel, o wiele bardziej od mojego pomysłu. Jego bohater przeniósłszy się w przeszłość, odkrywa tam krople deszczu przesywające go jak kule, i kanapki, których nie da się ugryźć — zupełnie słusznie, bo nic w przeszłości nie może przecież ulec zmianie. Ja natomiast, mniej umiejętnie, ale (mam nadzieję) równie słusznie posłużyłem się tym samym efektem, aby opisać wieczność. Jeżeli autor tamtego opowiadania kiedykolwiek przeczyta te słowa, przyjmie, mam nadzieję wyrazy mej najgłębszej wdzięczności. Po drugie, proszę wszystkich czytelników, aby pamiętali, że książka jest wytworem fantazji. Zawiera ona oczywiście morał — w każdym razie taki miałem zamiar. Jednak opisy tego, co spotyka ludzi po śmierci, są wyłącznie dzie-

lem wyobraźni; nie są one próbą odgadnięcia czy też domyślenia się, co nas naprawdę czeka. Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, jest rozbudzenie wśród czytelników ciekawości dotyczącej szczegółów życia na tamtym świecie.

Kwiecień 1945

*C. S. Lewis*

# 1

Zdawało mi się, że stoję w kolejce na przystanku autobusowym. Nad długą, nędzną ulicą zapadał zmierzch. Padało. Już od kilku godzin włączyłem się podobnymi ulicami w mokrym, wieczornym półmroku. Czas jakby się zatrzymał w tej nieprzyjemnej chwili, kiedy światła sklepów dopiero się zapalają, ale nie jest jeszcze dość ciemno, by ich widok rozweselał przechodniów. Czas płynął, a wieczór nie zmieniał się w noc i mijane przeze mnie dzielnice wciąż wyglądały tak samo. Wszędzie widziałem tylko odrapane kamienice, nieduże trafiki, tablice ogłoszeniowe ze strzępami plakatów, pozbawione okien magazyny, stacje towarowe bez pociągów i księgarnie wystawiające na sprzedaż *Dzieła* Arystotelesa. Nie spotkałem nikogo. Jeśli nie liczyć gromadki ludzi na przystanku, miasto zdawało się zupełnie wymarłe. Chyba właśnie dlatego przyłączyłem się do kolejki.

Od razu mi się poszczęściło. Gdy tylko zająłem miejsce, stojąca przede mną mała, zła jak osa kobieta naskoczyła na towarzyszącego jej mężczyznę:

— A więc dobrze! Mogę wcale nie jechać. Proszę bardzo. — Z tymi słowami opuściła kolejkę.

— Nie wyobrażaj sobie, proszę — odparł mężczyzna dystygowanym głosem — że zależy mi choć trochę na tym wyjeździe. Staralem się tylko dla świętego spokoju spełnić twoje zachcianki. Moje odczucia nie mają oczywiście najmniejszego znaczenia. Przynaj-

mniej to jedno jest zupełnie jasne. — I aby pokazać, że nie rzuca słów na wiatr, on także odszedł z kolejki.

Nieźle, pomyślałem, o dwa miejsca do przodu. Znalazłem się teraz za matym człowieczkiem o gniewnym spojrzeniu, który przyjrzał mi się nad wyraz niezyczliwie i odezwał, trochę za głośno, do dużego, muskularnego mężczyzny stojącego przed nim:

— W tej sytuacji nie wiadomo, czy w ogóle war to jechać.

— W jakiej sytuacji? — odburknął tamten.

— No, prawdę mówiąc, nie jestem przyzwyczajony do tego rodzaju towarzystwa — odparł Człowieczek.

— Aha! — powiedział Osilek i patrząc w moją stronę, dodał: — Nie pozwól pan sobie tak ubliżać. Co, strach pana obleciał? — Doszedłszy jednak do wniosku, że nie zamierzam zareagować, napadł nagle na Człowieczka: — Nie podobamy ci się, co? A mnie się nie podoba, jak pyskujesz! — I wymierzył mu taki cios w szczękę, że tamten wylądował w rynsztoku.

— Zostawcie go, niech sobie poleży — kontynuował Osilek; tym razem nie zwracał się do nikogo konkretnego. — Prosty chłop ze mnie, ale mam swoje prawa jak każdy, nie?

Ponieważ Człowieczek nie okazywał chęci powrotu na swoje miejsce i po chwili kulejąc, oddalił się, postąpiłem ostrożnie w stronę Osilka i pogratulowałem sobie kolejnego kroku naprzód. Niedługo potem dwoje rozchichotanych młodych ludzi stojących przed nami odeszło, trzymając się pod rękę. Nie mogłem odróżnić ich płci, oboje bowiem byli szczupli, ubrani w spodnie i rozmawiali falsetem, jednak niewątpliwie w tej chwili bardziej interesowali się sobą niż możliwością zajęcia miejsc w autobusie.

— Wszyscy na pewno się nie zmieścimy — ode-

zwała się płaczliwym głosem kobieta stojąca cztery osoby przede mną.

— Ustąpię pani miejsca za pięć szylingów — odparł ktoś inny.

Usłyszałem brzęk monet, a potem wrzaskliwy kobiecy głos zmieszany z wybuchami śmiechu czekających. Oszukana kobieta wyskoczyła z kolejki, żeby rzucić się na nieuczciwego sąsiada, ale inni natychmiast zwarli szereg i w ten sposób straciła miejsce... Tak oto zanim nadjechał autobus, kolejka znacznie zmalała.

Był to cudowny, lśniący złociście pojazd o heraldycznych barwach. Wydawało się, że nawet Kierowca promieniuje światłem. Do prowadzenia autobusu używał tylko jednej ręki, drugą natomiast wymachiwał przed sobą, jakby chciał rozpędzić lepkie opary deszczu. Na jego widok kolejka wydała gniewny pomruk:

— Wygląda na to, że przynajmniej o n się dobrze bawi, co?...

— Cholernie zadowolony z siebie...

— O, Boże! Czy ten facet nie mógłby zachowywać się normalnie?

— Nawet nie raczy na nas spojrzeć... Za kogo on się uważa?... I jeszcze te złocenia i fiolety, według mnie to karygodne marnotrawstwo. Dlaczego nie dadzą chociaż części tych pieniędzy na potrzeby miasta?...

— Aż się prosi, żeby mu przyłożyć!

W twarzy Kierowcy nie dostrzegłem niczego, co mogłoby usprawiedliwiać wszystkie te uwagi, chyba że spowodował je majestatyczny i skupiony jej wyraz.

Moi współpasażerowie przepychali się do drzwi jak stado kur, chociaż miejsca było dla wszystkich pod dostatkiem. Wsiadłem ostatni. Tylko połowa miejsc w autobusie była zajęta; usiadłem na końcu, z dala od innych. Natychmiast jednak przysiadł się do mnie jakiś rozczochrany młodzieniec. Ruszyliśmy.

— Pomyślałem sobie, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli się do pana przyłączę — powiedział. — Ma pan chyba do tego towarzystwa taki sam stosunek jak ja. Po co, u licha, jada, nie mogę tego pojąć. Nie spodoba im się tam i na pewno byłoby im o wiele wygodniej w domu. Pan i ja to co innego.

— Czy im się p o d o b a w tym mieście? — za pytałem.

— Jeżeli w ogóle może im się coś podobać — odparł. — Mają tu kina i bary z frytkami, i reklamy, i wszystko, czego chcą. Przerażający brak życia intelektualnego i m w ogóle nie przeszkadza. Jak tylko się tu dostałem, zrozumiałem, że zaszła jakaś pomyłka. Powinienem wyjechać od razu pierwszym autobusem, ale zamarudziłem trochę, bo starałem się jakoś obudzić tych ludzi. Odnalazłem kilku starych znajomych, żeby stworzyć coś w rodzaju klubu, ale oni wszyscy zniżyli się już do poziomu otoczenia. Nawet zanim się tu znalazłem, miałem pewne wątpliwości co do takich ludzi jak Cyril Blellow. Zawsze mi się wydawało, że używa niewłaściwych środków wyrazu. No, ale był przynajmniej inteligentny; można było od niego usłyszeć cenne uwagi, mimo że jego twórczość pozostawiała wiele do życzenia. Ale teraz nie zostało z niego nic oprócz zarozumiałości. Ostatnim razem, kiedy próbowałem przeczytać mu coś swojego... ale chwileczkę, chciałbym, żeby rzucił pan na to okiem.

Wzdrynąłem się na widok grubego maszynopisu, który młodzieniec właśnie wyciągał z kieszeni. Wykrztusiłem coś o braku okularów i wykrzyknąłem:

— A to ci dopiero! Lecimy!

I tak było rzeczywiście. Sto czy dwieście metrów pod nami, na wpół ukryte za mgłą i strugami deszczu, ciągnęły się jak okiem sięgnąć dachy domów.

Nie byłem długo skazany na towarzystwo Rozczochranego Poety, bo inny pasażer przerwał nam rozmowę. Zdażyłem jednak dowiedzieć się całkiem sporo na jego temat. Okazał się człowiekiem wyjątkowo pokrzywdzonym przez los. Rodzice nigdy go nie doceniali, a w żadnej z pięciu szkół, do których uczęszczał, nie potrafiono zapewnić warunków odpowiednich dla jego wyjątkowego talentu i usposobienia. Na domiar złego należał do tego typu chłopców, wobec których system egzaminacyjny działa niesprawiedliwie i daje zupełnie absurdalne wyniki. Dopiero na uniwersytecie zaczął sobie zdawać sprawę, że jego cierpienia nie były dziełem przypadku, lecz wiązały się ściśle z panującym ustrojem. Kapitalizm nie tylko zniewalał robotników, ale także wypaczał gusty i wulgaryzował umysły, co przejawiało się w złym systemie oświaty i braku uznania dla młodego geniusza. To odkrycie spowodowało, że stał się komunistą. Jednak wybuch wojny i sprzymierzenie się Rosji z rządami kapitalistycznymi sprawiły, że raz jeszcze poczuł się wyobcowany. Musiał się sprzeciwiać obowiązkowi służby wojskowej z przyczyn światopoglądowych. W tym okresie swej kariery doznał upokorzenia, które — jak wyznał — odarło go ze złudzeń. Zdecydował, że najlepiej przysłuży się sprawie, jeśli wyjedzie do Ameryki, ale niedługo potem Ameryka również przyłączyła się do wojny. To właśnie wtedy w nagłym olśnieniu ujrzał Szwecję jako ojczyznę naprawdę nowej, radykalnej sztuki, jednak jego

liczni prześladowcy nie chcieli umożliwić mu wyjazdu. Nie ominęły go kłopoty finansowe. Jego ojciec, który w swoich poglądach nigdy nie wznosił się ponad ohydne wiktoriańskie filisterstwo, dawał na utrzymanie syna śmiesznie małe sumy. Na dodatek dziewczyna Poety potraktowała go okropnie. Miał ją za naprawdę dojrzałą i nowoczesną, a tymczasem ona zupełnie niespodziewanie okazała się kłębkim burżuazyjnych uprzedzeń i monogamicznych instynktów. Nigdy nie znosił ludzi zaborczych i zazdrosnych. W końcu wyszło na jaw także jej skąpstwo. Miarka się przebrała. Rzucił się pod pociąg...

Aż podskoczyłem z wrażenia, ale on nie zwrócił na to uwagi.

Nawet wtedy, jak mówił, nie opuściła go zła pasasa. Wysłano go do tego szarego miasta. Oczywiście przez pomyłkę. Zapewnił mnie, że w drodze powrotnej spotkam w autobusie wszystkich pasażerów — ale jego wśród nich nie będzie. Miał zamiar „tam” zostać. Nie wątpił, że zmierza do miejsca, gdzie jego delikatny, krytyczny duch nie spotka się więcej z nieprzychylnością — tam nareszcie czeka go uznanie i zrozumienie. Tymczasem, ponieważ nie miałem przy sobie okularów, chciał mi przeczytać fragment, do którego tak bezdusznie odniósł się Cyril Blellow...

Przerwano nam w tej właśnie chwili. Jedna z przytłumionych kłótni, które stale toczyły się wśród pasażerów, rozgorzała na dobre. Wybuchła panika. Wyciągnięto noże i oddano kilka strzałów. Broń wydawała się jednak dziwnie niegroźna i gdy awantura ucichła, znalazłem się cały i zdrowy na innym siedzeniu, obok zupełnie innego podróżnego. Był to inteligentnie wyglądający człowiek o nieco bulwiastym nosie; jego głowę zdobił melonik.

Wyrząłem przez okno. Znajdowaliśmy się teraz tak

wysoko, że krajobraz pod nami zdawał się pozbawiony jakichkolwiek szczegółów. Nigdzie nie dojrzałem pól, rzek ani gór i miałem wrażenie, że szare miasto wciąż wypełnia pole widzenia.

— Diabelnie duże miasto — zagadnąłem. — Nic z tego nie rozumiem: dzielnice, które widziałem, były takie puste. Czy kiedyś mieszkało tu więcej ludzi?

— Och, nie — odparł mój sąsiad. — Rzecz w tym, że wszyscy są tacy kłótniwi. Jak tylko przyjeżdża ktoś nowy i osiedla się na którejś z ulic, wszczynają kłótnie z sąsiadami, i to zanim miną dwadzieścia cztery godziny od jego przyjazdu. Pod koniec tygodnia kłótnia jest już tak zawzięta, że nowo przybyły postanawia się przeprowadzić. Najczęściej przekonuje się, że ulica obok jest zupełnie pusta, bo wszyscy mieszkańcy też pokłócili się z sąsiadami i też się przeprowadzali. Tam więc zostaje. Jeżeli jakimś cudem na sąsiedniej ulicy jeszcze ktoś mieszka, nowo przybyły przynosi się dalej. Ale nawet gdyby został, i tak niewiele zyska, bo wkrótce znów się pokłóci i przeprowadzi gdzie indziej. W końcu wyniesie się na skraj miasta i zbuduje sobie nowy dom. Tutaj jest to bardzo proste: wystarczy tylko pomyśleć o domu i już jest. W ten sposób miasto wciąż rośnie.

— I coraz więcej ulic pustoszeje?

— Otóż to. I czas płynie tu jakoś dziwnie. Przystanek, na którym staliśmy, jest oddalony o tysiące kilometrów od Ratusza, gdzie trafiają wszyscy przybywający z Ziemi. Wszyscy, których pan tu widzi, mieszkają niedaleko przystanku, ale dotarcie w te okolice zajęło mi według tutejszego czasu całe stulecie: stulecie kolejnych przeprowadzek.

— A co z tymi, którzy przyjechali wcześniej? To znaczy, są przecież jacyś ludzie, którzy dotarli tu z Ziemi na długo przed wami?

— O tak, są. Oni też ciągle się przeprowadzają, coraz dalej i dalej. Mieszkają tak daleko, że nie mogliby nawet marzyć o dojściu do przystanku. Musieliby pokonać astronomiczne odległości. Tam, gdzie mieszkam, jest nieduży pagórek, i jakiś facet ma teleskop, przez który widać światła domów oddalonych o miliony kilometrów. Mieszkają tam ci, co przyjechali dawno temu. Od czasu do czasu przenoszą się jeszcze dalej. To ludziom sprawia wielki zawód: myślą, że spotkają tu znane osobistości sprzed wieków, ale nie z tego, są za daleko.

— Czy mieliby jakąś szansę dotarcia do przystanku, gdyby kiedyś wybierali się w drogę?

— Hm, teoretycznie tak. Ale musieliby pokonać dystans wielu lat świetlnych. A poza tym teraz już by nie chcieli, przynajmniej ci najstarsi, jak Tamerlan, Czyngis-chan, Juliusz Cezar albo Henryk V.

— Nie chcieliby?

— Otóż to. Najbliżej z nich wszystkich mieszka Napoleon. Wiem o tym, bo dwóch facetów wybrało się, żeby go odwiedzić. Rzecz jasna, wyruszyli w drogę na długo przed moim przybyciem, ale widziałem ich powrót. Zajęło im to około piętnastu tysięcy lat naszego czasu. Wypatrzyliśmy potem ten dom: maciupęńkie światelko i dookoła czarna pustka w promieniu milionów kilometrów.

— Ale oni tam doszli?

— Otóż to. Napoleon wybudował sobie olbrzymi dom w stylu cesarstwa, z szeregiem rozjarzonych okien, chociaż stamtąd, gdzie mieszkam, widać tylko maciupęńkie światelko.

— I oni zobaczyli Napoleona?

— Otóż to. Podeszli blisko domu i zajrzeli przez okno. No i rzeczywiście był tam Napoleon.

— Co robił?

— Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem bez przerwy, prawa-lewa, prawa-lewa, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Ci faceci przyglądali mu się chyba z rok i przez ten czas nie odpoczął ani razu. I ciągle mrucał do siebie: „Wszystkiemu winien był Soult. Wszystkiemu winien był Ney. Wszystkiemu winna była Józefina. Wszystkiemu winni byli Rosjanie. Wszystkiemu winni byli Anglicy”. I tak dalej, cały czas. Nie przestał ani na chwilę. Mały, gruby, i podobno wyglądał na zmęczonego. Ale nie mógł przestać.

Z drgań autobusu wywnioskowałem, że wciąż jeszcze lecimy, chociaż przez okna nie mogłem dostrzec nic, co by potwierdzało moje przypuszczenia — zewsząd otaczała nas szara pustka.

— A zatem miasto będzie się rozrastało w nieskończoność? — zapytałem.

— Otóż to — odparł Inteligent. — Chyba że ktoś znajdzie jakieś wyjście.

— Co pan ma na myśli?

— No, tak między nami mówiąc, właśnie tym się teraz zajmuję. Dlaczego tak się dzieje? Nie dlatego, że ludzie są kłótniwi, to przecież leży w ludzkiej naturze i zawsze tak było, nawet na Ziemi. Prawdziwy problem polega na tym, że ludzie tutaj nie mają żadnych prawdziwych potrzeb. Wystarczy tylko sobie wyobrazić to, czego się zapragnie i już się to ma (oczywiście nie najlepszej jakości). Dlatego ani przeprowadzka na inną ulicę, ani budowa nowego domu nie sprawiają żadnego kłopotu. Inaczej mówiąc, nie istnieje baza ekonomiczna, na której mogłoby się rozwijać życie społeczne. Gdyby ludzie potrzebowali prawdziwych sklepów, musieliby mieszkać niedaleko nich. Gdyby potrzebowali prawdziwych domów, musieliby mieszkać tam, gdzie można znaleźć prawdziwych budowniczych. Niedostatek jest warunkiem zaistnienia spo-

leczeństwa. I tu właśnie zaczyna się moja rola. Niech pan nie myśli, że wybrałem się w tę podróż dla zdrowia. Jeśli o mnie chodzi, to nie wydaje mi się, żebym mógł się dobrze czuć tam, w górze. Ale jeżeli uda mi się wrócić z jakimś p r a w d z i w y m towarem, z czymś, co można naprawdę zjeść albo wypić, albo na czym można naprawdę usiąść, to zaraz tam, w naszym mieście, powstanie popyt. Założę małą firmę, będę miał co sprzedawać, ludzie zaczną się przeprowadzać bliżej. Centralizacja, rozumie pan. Dwie ulice mogłyby pomieścić ludzi rozrzuconych teraz na kilku milionach kilometrów kwadratowych. Uzbieram niezłą fortunę i przy tym ludzie będą mnie uważali za swojego dobroczyńcę.

— Myśli pan, że gdyby ludzie musieli mieszkać obok siebie, powoli przestaliby się ze sobą kłócić?

— No, tego nie wiem. Ale śmiem twierdzić, że dałoby się ich uciszyć. Można by zorganizować policję, wbić im do głowy trochę dyscypliny. W każdym razie — tu Inteligent zniżył głos — rozumie pan, na pewno byłoby lepiej mieszkać razem. W gromadzie zawsze bezpieczniej.

— Bezpieczniej? A czy trzeba się przed czymś bronić? — zapytałem, ale mój rozmówca szturchnął mnie na znak, abym zamilkł. Spróbowałem więc innego pytania: — Proszę mi powiedzieć: jeśli wystarczy pomyśleć o czymś, żeby to otrzymać, to dlaczego ludzie mieliby woleć te prawdziwe rzeczy, jak je pan nazywa?

— He? No, chyba każdy chciałby mieć dom, który chroni przed deszczem.

— A te, które są teraz, nie chronią?

— Oczywiście, że nie. Jak miałyby chronić?

— To po co, u diabła, budować takie domy? Inteligent nachylił się bliżej.

— Tak jest bezpieczniej — wymamrotał. — Przy najmniej daje to poczucie bezpieczeństwa. Teraz jeszcze wszystko jest w porządku, ale potem... rozumie pan.

— Co? — zapytałem; prawie bezwiednie ściszyłem głos do szeptu.

Wymówił kilka słów bezgłośnie, jakby oczekiwał, że odczytam je z jego warg. Nachyliłem ucho jak najbliżej jego ust.

— Niech pan mówi głośniej — poprosiłem.

— Wkrótce zapadnie noc — wyszeptał z namaszczaniem.

— To znaczy, że w końcu wieczór naprawdę zamieni się w noc?

Skinął twierdząco.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z domami?

— No cóż... nikt nie chciałby być na dworze, kiedy to się stanie.

— Dlaczego?

Jego ukradkowa odpowiedź była tak niezrozumiała, że musiałem prosić go kilka razy o powtórzenie. Gdy wreszcie odgadłem jego słowa, nieco rozdrażniony (jak to często bywa przy rozmowie szeptem), zapytałem, zapominając o ściszeniu głosu:

— Kim są ci „Oni”? I dlaczego pan się ich boi? Co oni mogą panu zrobić? I dlaczego mieliby się pojawić, kiedy będzie ciemno? A poza tym, co da wymyślony dom, jeżeli nadejdzie prawdziwe niebezpieczeństwo?

— Ej! — zawołał w tym momencie Osilek. — Kto tam gada? Przeście szeptać, wy dwaj, jeśli nie chcecie, żebym wam spuścił lanie! Plotek im się zachciało! Zamknij gębę, Ikey, słyszysz?

— On ma rację! To skandaliczne! Powinno się ich ukarać! Kto ich wpuścił do autobusu? — zawtórowała pasażerowie.



Gruby, gładko wygolony jegomość siedzący przede mną odchylił się do tyłu i zagadnął ugrzeczonym tonem:

— Bardzo przepraszam, ale niechcący podsłuchałem, o czym panowie mówili. To zadziwiające, jak te prymitywne przesady do dzisiaj pokutują wśród ludzi. Słucham? Och, na Boga, przecież to przesady, nic więcej. Nie ma najmniejszego dowodu na to, że wieczór kiedykolwiek zmieni się w noc. W kręgach ludzi wykształconych opinie na ten temat uległy rewolucyjnym zmianom. Dziwię się, że panowie o tym nie słyszeli. Mroczne fantazje naszych przodków odchodzą w niepamięć. Ów przyćmiony i delikatny półmrok, który obserwujemy obecnie, jest niczym innym jak zapowiedzią poranka: powolnym zwracaniem się całego narodu ku światłu. Oczywiście jest to proces tak powolny, że nie sposób go zauważyć. „Nie tylko poprzez wschodnie okna, gdy wstaje dzień, nadchodzi blask”. A to pragnienie „prawdziwych” towarów, o których mówił pański znajomy, to po prostu materializm, wsteczny, przyziemny materializm. Tęsknota za materią. M y jednak widzimy w tym duchowym mieście, bo pomimo wszystkich swoich wad jest ono duchowe, jakby kolebkę, w której twórcze cechy człowieka, uwolnione z kajdan materii, nareszcie próbują rozwinąć skrzydła. To naprawdę wzniosła myśl.

Po wielu godzinach lotu w naszym otoczeniu zaszła zmiana. Wnętrze autobusu rozjaśniło się nieco. Szarość za oknami zmieniła się z burej w perłową, potem stała się bladoniebieska, by w końcu porazić oczy jaskrawym błękitem. Wyglądało na to, że unosimy się w zupełnej pustce. Nigdzie nie było widać Ziemi, nie było też słońca ani gwiazd; zewsząd otaczała nas świetlista otchłań. Otworzyłem najbliższe okno. Ogarnęła mnie na chwilę cudowna świeżość, a potem...

— Co pan u licha robi? — wykrzyknął Inteligent i bezpardonowo przechylił się nade mną, aby zamknąć okno. — Chce pan, żebyśmy się wszyscy pozaziębiali na śmierć?

— Daj mu w ucho! — przyłączył się Osilek.

Rozejrzałem się dookoła. Pomimo zamkniętych okien i pośpiesznie zaciągniętych firanek autobus tonął w świetle. Było ono bezlitosne. Wzdrygnąłem się na widok otaczających mnie postaci. Ich nieruchome twarze zamiast nadziei wyrażały beznadziejną stagnację. Jedne z nich były wychudłe, inne pucłowate, jedne patrzyły bezmyślnie i dziko, inne tonały bez reszty w marzeniach — wszystkie jednak robiły wrażenie zniekształconych i wyblakłych. Zdawało się, że w coraz jaskrawszym świetle w końcu rozpadną się i przestaną istnieć. Nagle, w lusterku na końcu autobusu, zobaczyłem własną twarz. Światło wciąż przybierało na sile.

# 3

Przed nami wyłoniło się nagle strome urwisko. Ciemna, gładka ściana opadała pionowo — tak nisko, że nie mogłem dojrzeć dna przepaści. Wznosiliśmy się. Wreszcie nad nami ukazał się szczyt urwiska: szmaragdowa linia, cienka jak struna. W chwilę potem przelecieliśmy ponad krawędzią i znaleźliśmy się nad trawiastą równiną, której środkiem płynęła szeroka rzeka. Nasz pojazd tracił wysokość — lecieliśmy teraz jakieś sześć metrów nad wierzchołkami najwyższych drzew. Po chwili ku mojemu zdumieniu autobus zniechęcił się. Pasażerowie zerwali się na równe nogi. Kiedy podróżni przepychali się do wyjścia, moich uszu dobiegły przekleństwa, urąganie, odgłosy uderzeń i wstrętne złożeczenia. Jeszcze chwila i wszyscy znaleźli się na zewnątrz. Zostałem sam. Przez otwarte drzwi autobusu słyszałem rozlegający się w czystym, nieruchomym powietrzu śpiew skowronka.

Wysiadłem. Chłód i światło, które mnie ogarnęły, przypominałyby do złudzenia wczesny, letni poranek na minutę lub dwie przed wschodem słońca, gdyby nie jedna istotna różnica. Przestrzeń wokół mnie sprawiała wrażenie większej niż zwykle. Może była to nawet przestrzeń większego r o d z a j u — jakby niebo znajdowało się wyżej, a zielona równina wokół mnie zajmowała obszar większy, niż byłoby to możliwe na Ziemi. Znalazłem się tak bardzo „na zewnątrz”, że w porównaniu z tym miejscem nawet Układ Słoneczny wydał mi się przytulny. Dawało to poczucie

wolności, ale także odsłonięcia, czy nawet zagrożenia, i uczucia te już mnie nie opuściły. Nie potrafię teraz przekazać wiernie tego, co czułem, nie sposób też nakłonić czytelników, by pamiętali podczas dalszej opowieści o tym pierwszym wrażeniu. Dlatego też obawiam się, że mój opis nie odda wiernie atmosfery późniejszych wydarzeń.

Z początku, rzecz jasna, moją uwagę zaprzętnął widok podróźnych. Większość tłoczyła się jeszcze w pobliżu autobusu, ale niektórzy odchodzili niepewnie, stopniowo wtapiając się w krajobraz. Ich widok zaparł mi dech w piersiach. Teraz, w pełnej jasności poranka, wydali mi się przezroczyści — pod światło znikali zupełnie, a w cieniu drzew pojawiali się jako brudne, mętne cienie. Nie miałem wątpliwości, że widzę upiory: w przejrzystym powietrzu ich ciała wyglądały jak ciemniejsze plamy o ludzkich kształtach. Można je było oglądać albo też zupełnie zignorować, jak brud na szybie, przez którą wygląda się na dwór. Zauważyłem też, że trawa nie ugina się pod ich stopami; nawet krople rosy zostały nieporuszone tam, gdzie przeszli.

Po chwili jednak — nie wiem, czy była to zmiana mojego wewnętrznego nastawienia czy wzroku — spojrzałem na tę scenę inaczej. Ludzie ci wydali mi się teraz zwyczajni, jak wszyscy ludzie, których znałem. Za to światło, trawa i drzewa były zupełnie inne, jakby zrobione z innej materii, o wiele mocniejszej i trwalszej niż ta, z której składa się nasz świat. W porównaniu z nią ludzie wyglądali jak upiory. Przyszło mi nagle na myśl, żeby schylić się i zerwać stokrotkę rosnącą u moich stóp. Łodyżka nie chciała się złamać. Próbowałem ją ukreć, ale nic z tego. Szarpałem tak długo, aż pot wystąpił mi na czoło i starłem sobie skórę na rękach. Kwiatek okazał się twardy — nie jak drewno czy nawet stal, ale jak diament.



Obok stokrotki na trawie leżał miody, delikatny bukowy listek. Spróbowałem go podnieść; serce o mało nie pękło mi z wysiłku, ale zdaje się, że zdołałem go oderwać od ziemi. Puściłem go jednak natychmiast, bo ważył więcej niż worek węgla. Stałem tak, z trudem łapiąc powietrze i starając się wyrównać oddech, gdy nagle, przyglądając się stokrotce, zauważyłem, że widzę trawę nie tylko pomiędzy swoimi stopami, ale także przez nie. A więc i ja byłem zjawą! Jak mam opisać swoje przerażenie? A niech to, pomyślałem, tym razem wpadłem na dobre!

— To okropne! To okropne! Nie mogę tego znieść!

Z tym okrzykiem jedna z pasażerek przebiegła obok mnie i pędem wskoczyła do autobusu. O ile wiem, nie wyszła stamtąd więcej. Pozostali mieli niezbyt pewne miny. Wreszcie Osilek zagadnął Kierowcę:

— Halo, czy szanowny pan nie wie, kiedy musimy być z powrotem?

— Nie musicie w ogóle wracać, chyba że będziecie chcieli — odparł tamten. — Możecie tu zostać tak długo, jak wam się będzie podobało.

Zapadła krępująca cisza.

— To po prostu idiotyczne — odezwał się tuż przy moim uchu jeden z poważniejszych i mniej hałaśliwych upiórów, który podczas rozmowy przysunął się do mnie. Po chwili dodał: — To wszystko jest źle zorganizowane. Czy jest sens, żeby ten motłoch wałęsał się tu *przez* cały dzień? Niech pan na nich spojrzy: nie bawią się za dobrze. W domu byłoby im o wiele lepiej. Nie wiedzą nawet, co mają robić.

— Ja sam też nie bardzo wiem — powiedziałem. — Co się tu właściwie robi?

— Jeżeli o mnie chodzi, to za chwilę ktoś po mnie wyjdzie. Czekają tu na mnie. Jak pan widzi, nie muszą się przejmować. Ale niezbyt to przyjemne, kiedy

od razu pierwszego dnia trzeba się gnieść w takim tłumie wycieczkowiczów. W końcu przyjeżdża się tutaj przede wszystkim po to, żeby ich uniknąć.

Mój rozmówca odszedł, a ja zacząłem się rozglądać wokoło. Wspomniał o „tłumie”, ale pusta przestrzeń rozciągała się tak daleko, że ledwo dostrzegałem stojącą na pierwszym planie gromadkę duchów. Bezmiar światła i zieleni wchłonał ją niemal całkowicie. Za to w oddali dostrzegłem coś, co przypominało zwal chmur albo pasmo górskie. Czasem zdawało mi się, że rozróżniam rosnące na stromych stokach lasy, głębokie doliny, a nawet górskie miasta położone na niedostępnych szczytach. Po chwili jednak wszystko zniknęło. Pasma było tak wysokie, że na jawie nie mogłbym na pewno objąć go wzrokiem. Promienie światła padały ukośnie sponad najwyższych szczytów, tak że drzewa rosnące na równinie rzucały długie cienie.

Godziny mijały, ale nic się nie zmieniało. Obietnica czy też groźba poranka spoczywała wciąż na odległych szczytach gór.

Upłynęło wiele czasu, zanim w końcu ujrzałem ludzi idących nam na spotkanie. Ich postacie jaśniały z daleka i początkowo nie wyglądali oni jak ludzie. Zbliżali się kilometr za kilometrem; ziemia drżała pod ich silnymi stopami zanurzającymi się raz po raz w mokrej trawie. Lekka mgielka i słodki zapach unosiły się tam, gdzie przechodząc, łamali *żdźbła* i rozpryskiwali rosę. Jedni byli nadzy, inni ubrani, ale nagość nie pozbawiała ich godności, a szaty nie zakrywały masywnego piękna mięśni i lśniącej gładkości ciała. Niektórzy mieli brody, ale nie mogłem rozpoznać wieku żadnego z nich. Nawet w naszym świecie widzi się niekiedy przebłyśki wieczności — poważne zamyślenie na twarzy dziecka albo dziecinną figlarność w ry-

sach starca — tutaj wszystko właśnie tak wyglądało. Nadchodzący byli coraz bliżej. Nie powiem, że bym był tym zachwycony.

Dwa upiory z krzykiem uciekły do autobusu, a my zbiliśmy się w ciasną gromadkę.

## 4

Gdy potężni ludzie zbliżyli się jeszcze bardziej, zauważyłem w ich sposobie poruszania się pewien porządek i zdecydowanie, tak jakby każdy z nich upatrzył sobie jeden z otaczających mnie ludzkich cieni. Zaraz się *zaczna* wzruszające sceny, powiedziałem sobie, chyba nie wypada się przyglądać. Z tą myślą oddaliłem się, pod wymijającym pretekstem zwiedzania okolicy. Olbrzymie cedry po mojej prawej ręce wyglądały pociągająco, ruszyłem więc w ich kierunku. Chodzenie okazało się trudne. Idąc po trawie, twardej dla moich bezcielesnych stóp niczym diament, miałem wrażenie, że stawiam stopy na ostrej, pełnej załamań skale. Cierpiałem męki podobne do tych, jakie przeżywała mała syrenka z baśni Andersena. Jakiś ptak przebiegł mi drogę. Pozazdrościłem mu w duchu: należał do tego świata i był tak samo prawdziwy jak trawa, mógł z łatwością zginać źdźbła, strząsając na siebie krople rosy.

Prawie natychmiast podążył za mną człowiek, którego w myślach nazywałem Osiłkiem, chociaż teraz powinno się go chyba nazwać Barczystym Upiorem. Za nim z kolei pośpieszył jeden ze Świetlistych Ludzi.

— Nie poznajesz mnie?! — wołał on za uciekającym Duchem.

Nie mogłem się oprzeć pokusie, by odwrócić się i zacząć przysłuchiwać. Na widok twarzy świetlistego ducha — był on jednym z tych, którzy nosili szaty — miałem ochotę tańczyć ze szczęścia: pomimo mło-

dych rysów wyrażała ona tak wielką radość, a równocześnie stałość.

— No nie, niech mnie diabli porwą — odezwał się Upiór. — Nigdy bym w to nie uwierzył. Zupełnie mnie zatkało. To nie w porządku, Len, i dobrze o tym wiesz. A Jack? Zdaje się, że jesteś z siebie całkiem zaadowolony, ale ja się pytam: co z Jackiem?

— Jack jest tutaj — odparł tamten. — Spotkasz go niebawem, jeśli zostaniesz.

— Ale przecież ty go zabiłeś!

— Oczywiście, zabiłem go. Teraz to już nie ma znaczenia.

— Nie ma znaczenia? To znaczy, dla ciebie może i nie ma. Ale dla tego biedaka w trumnie?

— Ależ nie, powiedziałem ci przecież, że go nie długo spotkasz. Przesyła ci pozdrowienia.

— Chciałbym tylko wiedzieć — ciągnął Upiór — co taki przeklęty morderca jak ty robi tutaj, zadowolony z siebie jak nie wiadomo co, podczas gdy ja przez wszystkie te lata mieszkałem jak w chlewie i wydeptywałem ulice, tam na dole.

— Z początku trochę trudno to zrozumieć. Ale tam to masz już za sobą. Wkrótce i ty będziesz zadowolony. A do tego czasu nie ma się czym przejmować.

— Nie ma się czym przejmować? Czy ty w ogóle nie masz wstydu?

— Nie. To znaczy, nie lak jak ty to rozumiesz. Nie mam wstydu, bo nie zajmuję się sobą. Przestałem w ogóle liczyć na siebie. Po tamtym morderstwie nie miałem innego wyjścia i to ono mi w tym pomogło. Od niego wszystko się zaczęło.

— Moim skromnym zdaniem — odpowiedział Upiór, przy czym potożył na te słowa nacisk przeczący ich zwykłemu znaczeniu — moim skromnym zda-

niem, powinniśmy się zamienić miejscami. Tak właśnie myślę.

— Bardzo prawdopodobne, że tak się stanie — odparł tamten — jeżeli tylko przestaniesz o tym myśleć.

— Spójrz na mnie — powiedział Upiór i uderzył się w pierś (nie wywołało to co prawda żadnego odgłosu). — Całe życie byłem w porządku. Nie mówię, żebym był szczególnie religijny albo żebym nie miał wad, co to, to nie. Ale całe życie starałem się, jak mogłem, rozumiesz? Starałem się być jak najlepszy dla innych, taki już jestem. Nigdy nie prosiłem o to, co mi się nie należało. Jak się chciałem napić, to płaciłem, a jak brałem wypłatę, to zarabiałem na nią uczciwą robotą, rozumiesz? Taki już jestem i nie robię z tego tajemnicy.

— Dałbyś lepiej spokój.

— Kto ma dać spokój? Ja jestem spokojny. Chcę tylko, żebyś wiedział, jaki jestem, rozumiesz? Nie chcę niczego, co by mi się nie należało. Nie wyobrażaj sobie, że wolno ci mnie poniżać, bo wystroiłeś się jak stróż w Boże Ciało, a ja jestem tylko biedakiem. Na wiasem mówiąc, kiedy byłeś moim podwładnym, wyglądałeś trochę inaczej. Powinienem dostać to, co mi się należało, tak samo jak ty, rozumiesz?

— O, nie. Nie jest jeszcze tak źle: nie dostałem tego, co mi się należało, bo wtedy nie byłoby mnie tutaj. I ty też nie dostaniesz tego, co się tobie należy. Dostaniesz coś o wiele lepszego, nie obawiaj się.

— No, przecież właśnie o tym mówię. Nie dostałem tego, co mi się należało. Zawsze się starałem i nigdy nie zrobiłem nic złego. A już najmniej rozumiem, dlaczego mam być postawiony niżej od takiego przeklętego mordercy jak ty.

— Kto wie, czy nie będziesz postawiony wyżej? Po prostu nie martw się o to i chodź ze mną.

— No i po co ciągle się ze mną kłócisz? Mówię ci tylko, jaki jestem, chcę tylko tego, co mi się należy. Nikogo nie proszę o łaskę.

— A więc zrób to, i to natychmiast! Poproś o łaskę! Tutaj jeżeli chcesz coś dostać, wystarczy poprosić, ale niczego nie można kupić.

— No, tobie to pewnie nie przeszkadza, co? Jeżeli chcą tu wpuszczać takich przeklętych morderców tylko dlatego, że w ostatniej chwili udają skruchę, to ich sprawa. Ale wcale mi się nie uśmiecha, żeby nas wrzucali do jednego worka. Jakim prawem? Ja nie potrzebuję niczyjej łaski. Jestem porządnym facetem i gdybym dostał to, co mi się należy, już dawno byłbym tutaj, możesz im to ode mnie powiedzieć.

Jego towarzysz potrzęsnał głową.

— W ten sposób nigdy ci się nie uda — powiedział. — Stopy nigdy nie stwardnieją ci na tyle, żebyś mógł chodzić po trawie. Zmęczysz się, zanim dotrzym do gór. A poza tym nie masz racji. — Gdy to mówił, w jego oczach błysnęły wesołe ogniki.

— W czym nie mam racji? — zapytał Upiór urażonym głosem.

— Nie byłeś porządnym człowiekiem i wcale się nie starałeś. Nikt z nas nie był naprawdę porządnym i nikt z nas się nie starał. Ale, niech Pan ma cię w swojej opiece, to już bez znaczenia. Nie trzeba znowu do tego wracać.

— Ty! — wykrztusił Upiór. — Ty masz czelność mówić, że ja nie byłem porządnym człowiekiem?

— Oczywiście. Czy muszę wdawać się w szczygóły? Na początek powiem ci jedną rzecz. To, że za mordowałem Jacka, nie było jeszcze najgorsze. Działłem pod wpływem chwili i kiedy to robiłem, byłem

na wpół szalony. Ale ciebie mordowałem z rozmysłem całymi latami w swoim sercu. Zdarzało się, że leżałem w nocy i rozmyślałem, co mógłbym ci zrobić, gdyby kiedyś nadarzyła się okazja. To dlatego przysłało mnie teraz do ciebie: mam cię prosić o wybaczenie i pozostać twoim sługą tak długo, jak będziesz tego potrzebował, albo i dłużej, jeżeli sprawi ci to przyjemność. Ja byłem najgorszy, ale wszyscy twoi podwładni czuli to co ja. Dałeś się nam we znaki. Tak samo jak swojej żonie i dzieciom...

— Pilnuj swojego nosa, młokosie — przerwał mu Upiór. — Trzymaj lepiej język za zębami, rozumiesz? Nie będę wysłuchiwał od ciebie żadnych impertynencji na temat moich prywatnych spraw.

— Żadne sprawy nie są tak naprawdę prywatne — odparł tamten.

— I jeszcze coś ci powiem — nie ustępował Upiór. — Zabieraj się stąd, dobra? Nikt cię tu nie potrzebuje. Może jestem tylko zwyczajnym facetem, ale nie będę trzymał z mordercą, a już na pewno nie będę wysłuchiwał twoich pouczeń. Dałem ci się we znaki, co? I takim jak ty też? No, gdybyś tak znowu był u mnie, dopiero bym ci pokazał, co to znaczy praca!

— Możesz mi to pokazać teraz — odpowiedział tamten ze śmiechem. — Wędrówka w stronę gór to wielka radość, ale będziemy mieli też sporo pracy.

— Nie myślisz chyba, że z tobą pójdę?

— Nie odmawiaj. Sam nigdy tam nie dotrzesz. A ja zostałem przysłany specjalnie po ciebie.

— A więc to tak?! — wrzasnął Upiór, z pozoru rozgoryczony, ale zdawało mi się, że usłyszałem w jego głosie nutkę triumfu. Poproszono go o coś: mógł więc skorzystać ze sposobności i odmówić. — Domyślałem się, że coś tu nie gra — ciągnął. — To wszystko jedna banda, jedna parszywa banda. Powiedz im, że nie

przyjść, słyszysz?! Wolę iść do diabła niż z tobą. Przyjechałem tu, żeby odebrać to, co mi się należy, a nie żeby wałęsać się za tobą z łaski, czepiając się ciebie jak niańki. Jeżeli są zbyt godni, żeby przyjąć mnie samego, wracam do domu.

Teraz, kiedy mógł grozić, wydawał się niemal szczęśliwy.

— Otóż to! — powtórzył. — Wracam do domu! Nie po to tu przyjechałem, żeby mnie traktowano jak psa. Wracam do domu. Tak, właśnie tak! Niech licho porwie całą tę waszą bandę...

W końcu poszedł. Po drodze wygrażał i pojękiwał z bólu przy każdym kroku stawianym wśród ostrych traw.

## 5

Przez chwilę pod cedrami panowała cisza, aż nagle — pac, pac, pac — przerwały ją miękkie stąpnięcia. Dwa lwy o aksamitnych łapach wyskoczyły na otwartą przestrzeń i wpatrzone w siebie z namaszczeniem rozpoczęły swoją lwią zabawę. Grzywy miały tak mokre, jakby dopiero co kąpały się w rzece — jej szmer słyszałem nieopodal, chociaż nie mogłem jej nigdzie dostrzec. Niezbyt zadowolony z nowego towarzystwa wyruszyłem na poszukiwanie rzeki. Niebawem, po ominięciu gęstych, kwitnących zarośli znalazłem to, czego szukałem. Zarośla schodziły prawie nad samą wodę, a rzeka, gładka jak Tamiza, płynęła szybko niczym górski potok. Woda pod drzewami była jasnozielona i tak przejrzysta, że z łatwością mogłem policzyć kamyki na jej dnie. Niedaleko mnie nad wodą zobaczyłem jeszcze jednego z Świetlistych Ludzi rozmawiającego z Upiorem — tym samym zażywym jegomościem o ugrzecznonym głosie, który zagadnął mnie w autobusie. Zdawało mi się, że ma na nogach getry.

— Mój kochany chłopcze, jakże się cieszę, że cię widzę — zwrócił się Upiór do towarzyszącego mu Ducha, którego nagie ciało było niemal oślepiająco białe. — Rozmawiałem niedawno o tobie z twoim ojcem i zastanawialiśmy się, gdzie też się podziewasz.

— Nie przywiozłeś go ze sobą? — zapytał tamten.

— Hm, nie. Mieszka daleko od przystanku, a poza tym, szczerze mówiąc, ostatnio jakby trochę zdziwa-

czał. Zrobił się trudny, jakiś rozkojarzony. Nigdy, jak wiesz, nie był zdolny do podejmowania wielkich wyzwań. Pamiętasz, jak zasypiał, gdy tylko zaczynaliśmy jakąś poważną rozmowę? Och, Dick, nigdy nie zapomnę tych naszych rozmów. Mam nadzieję, że od tamtej pory zmieniłeś nieco poglądy. Pod koniec życia zrobiłeś się trochę ograniczony, ale nie wątpię, że pobyt tutaj poszerzył twoje horyzonty.

— O czym ty mówisz?

— No, teraz widać, że nie miałeś zupełnej racji. Mój drogi chłopcze, przecież ty zaczynałeś już wierzyć w istnienie prawdziwego Nieba i Piekła.

— I nie miałem racji?

— No, oczywiście w sensie duchowym tak. Ja również wierzę w duchowe Niebo i Piekło. Wciąż, mój chłopcze, poszukuję Królestwa. Ale żadne przesady czy mitologie...

— Wybacz, proszę, ale jak sądzisz, gdzie byłeś do tej pory?

— Ach, rozumiem. Uważasz, że to szare miasto, z jego nadzieją poranka (musimy przecież wszyscy żyć nadzieją, prawda?), z jego nieograniczonym postępowaniem, jest w pewnym sensie Niebem, o ile tylko mamy ochotę, żeby to dostrzec? Piękna myśl.

— Wcale nie to chciałem powiedzieć. Czy możliwe, żebyś naprawdę nie "wiedział, gdzie byłeś?"

— Teraz, gdy o tym mówisz, zdaje mi się, że nigdy nie używaliśmy nazwy tego miejsca. A wy jak je nazywacie?

— Nazywamy je Piekłem.

— Nie ma powodu, by używać tak wulgarnych słów, drogi chłopcze. Może nie jestem bardzo ortodoksyjny, w twoim znaczeniu tego słowa, ale uważam, że o tych sprawach należy mówić prosto, z należytą powagą i szacunkiem.

— Mówić o Piekłe z szacunkiem? Powiedziałem to, co myślę. Byłeś w Piekłe, chociaż, jeżeli tam nie wrócisz, możesz je nazwać Czyśćcem.

— Mów dalej, mój chłopcze, mów dalej. To bardzo w twoim stylu. Bez wątpienia zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego zostałem tam posłany, Mów, nie gniewam się.

— Nie wiesz? Wysłano cię tam, bo jesteś apostatą.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej.

— To gorsze, niż się spodziewałem. Czy naprawdę sądzisz, że karze się ludzi za ich uczciwe poglądy? Nawet jeśli przyjmiemy, teoretycznie rzecz jasna, że poglądy te były błędne?

— Czy naprawdę uważasz, że nie istnieją grzechy intelektu?

— Ależ tak, Dick, istnieją. Istnieje przecież zafanowanie, uprzedzenia, intelektualna nieuczciwość, brak śmiałości i stagnacja. Ale uczciwe poglądy wyznawane bez lęku nie są przecież grzechem.

— Wiem, że tak kiedyś uważaliśmy. Myślałem tak aż do końca życia, kiedy to zrobiłem się, jak mówisz, ograniczony. Wszystko zasada się na tym, jakie poglądy uznamy za uczciwe.

— Moje na pewno były uczciwe. Nie tylko uczciwe, ale nawet bohaterские. Wyznawałem je bez lęku. Kiedy dany mi od Boga zmysł krytyczny nakazał mi podważyć słuszność doktryny o Zmartwychwstaniu, odrzuciłem ją otwarcie. Wygłosiłem swoje słynne kazanie. Przeciwstawiłem się całej kapitule. Zaryzykowałem wszystko.

— Co zaryzykowałeś? Co innego mogło z tego wynikać niż to, co rzeczywiście nastąpiło: stałeś się sławny, twoje książki sprzedawały się świetnie, zapraszano cię wszędzie, a w końcu zostałeś biskupem.



— Dick, to niegodne. Co ty właściwie insynuujesz?

— Niczego nie insynuuję. Widzisz, teraz już wiem. Bądźmy ze sobą szczerzy. Do naszych poglądów wcale nie dochodziliśmy uczciwie. Po prostu zetknęliśmy się z pewnym nurtem i daliśmy mu się unieść, bo wy dawał nam się nowoczesny i obiecujący. Na uniwersytecie automatycznie zaczęliśmy pisać tylko to, co było oceniane wysoko, i mówić tylko to, co spotykało się z aprobatą. Czy chociaż raz w ciągu całego życia stanęliśmy samotnie twarzą w twarz z tym jednym jedynym pytaniem, od którego wszystko zależało: czy aby rzeczy nadprzyrodzone nie istnieją naprawdę? Czy choć przez chwilę walczyliśmy, by nie utracić wiary?

— Jeżeli uważasz, że w ten sposób doszło do powstania teologii liberalnej, powiem ci, że to zwykłe pomówienie. Czy sądzisz, że ludzie tacy jak...

— Nic mnie nie obchodzi uogólnienia ani inni ludzie. Chodzi o ciebie i o mnie. Miej miłosierdzie dla swojej duszy, przypomnij sobie. Przecież wiesz, że graliśmy znaczonymi kartami. Nie chcemy, żeby co innego okazało się prawdą. Obawialiśmy się prostackiej wiary w Zmartwychwstanie, zerwania z duchem czasu, ośmieszenia, ale przede wszystkim baliśmy się prawdziwego życia duchowego, jego łęków i nadziei.

— Nie twierdzę, że młodzi ludzie nie popełniają błędów i nie podlegają obowiązującym prądom myślowym. Ale nie chodzi mi o to, jak powstają poglądy, tylko o to, że moje poglądy były uczciwe i szczerze wyznawane.

— Oczywiście. Kiedy już raz puściliśmy się z prądem i nie próbowaliśmy walczyć ani nawet się modlić, przyjmując za dobrą monetę każdy na wpół świadomy

podszepct naszych pragnień, przestaliśmy w końcu wierzyć w to, na czym opiera się wiara. Podobnie dzieje się z zazdrosnym człowiekiem, który da się ponieść uczuciom i nie stawia oporu: zaczyna w końcu wierzyć w kłamstwa o swoim najlepszym przyjacielu, albo z pijakiem, który (przynajmniej przez chwilę) wierzy, że następny kieliszek wcale mu nie zaszkodzi. Ich poglądy są szczerze w tym sensie, że naprawdę pojawiają się w ich umyśle jako zjawiska psychologiczne. Jeżeli to masz na myśli, mówiąc o szczerości, rzeczywiście ich poglądy są szczerze, tak samo jak i nasze. A jednak błędy, choćby nie wiem jak szczerze, nie są niewinne.

— Za chwilę zaczniesz mi tu dowodzić słuszności inkwizycji!

— Dlaczego? Czy to, że w średniowieczu popełniono błąd, bo posunięto się za daleko w jedną stronę, wyklucza możliwość błędu po stronie przeciwnej?

— No, no, to nadzwyczaj interesujące — odezwał się wymijająco episkopalny Upiór. — To rzeczywiście zajmujący punkt widzenia. Tak, nawet bardzo zajmujący. A tymczasem...

— Nie ma żadnego „tymczasem” — przerwał mu Duch. — Tamte czasy nie wrócą. Nie jesteśmy tu po to, żeby się zabawiać rozmową. Mówiłem o przeszłości (o mojej i twojej przeszłości), bo chcę, żebyś już nigdy nie musiał do niej wracać. To tak jak z wyrwaniem bolącego zęba: jedno porządne szarpnięcie i już po kłopotcie. Możesz zacząć wszystko od początku, jakby nigdy nic się nie stało, biały jak śnieg. To wszystko prawda. On naprawdę przychodzi we mnie, aby dać ci swoją moc, a ja odbyłem długą podróż tylko po to, żeby cię spotkać. Widziałeś Piekło, teraz jesteś w miejscu, skąd widać Niebo. Czy przynajmniej teraz okażesz skrucę i uwierzysz?

— Niezupełnie rozumiem, do czego zmierzasz — rzekł Upiór.

— Do niczego nie zmierzam — odparł Duch. — Mówię ci po prostu, żebyś okazał skruchę i uwierzył.

— Ależ drogi chłopcze, ja już uwierzyłem. Może nie zgadzamy się do końca, ale popełniasz duży błąd, jeśli sądzisz, że religia nie jest dla mnie naprawdę bardzo ważną rzeczą.

— A więc dobrze — powiedział ten drugi, jakby nagle zmienił plan. — Czy możesz przynajmniej uwierzyć we mnie?

— Co przez to rozumiesz?

— Czy zechcesz pójść ze mną w góry? Na początku, dopóki twoje stopy nie staną się dostatecznie twarde, będzie to trochę bolało. Upiory niezbyt do brze się czują w realnym świecie. Czy pomimo to pójdziesz ze mną?

— Hm, to poważna propozycja. Jestem gotów ją rozważyć. Oczywiście, musiałbym najpierw wiedzieć... musiałbyś mi zagwarantować, że tam, do kąd mnie zabierzesz, znajdę szersze pole działania, przestrzeń dla rozwijania talentów, którymi mnie Bóg obdarzył, atmosferę swobodnych dociekań, czyli to wszystko, co zwykle określa się mianem cywilizacji i... eee... życia duchowego.

— Nie, nie mogę ci obiecać żadnej z tych rzeczy: ani pola działania, bo nie jesteś tam w ogóle potrzebny, ani przestrzeni dla rozwijania talentów, tylko przebaczenie tego, żeś ich użył do złych celów, ani atmosfery swobodnych dociekań, bo zaprowadzę cię do kraju, gdzie nie ma pytań, a są tylko odpowiedzi, i tam zobaczysz oblicze Boga.

— Ależ tych słów nie wolno interpretować, jak nam się podoba! Według mnie nie istnieje nic takiego

jak ostateczna odpowiedź. Swobodny powiew dociekań nie może n i g d y spocząć, nieprawdaż? Powiedziane jest przecież: „Wszystko badajcie...” Lepiej jest wędrować z nadzieją, niż dojść do celu.

— Gdyby rzeczywiście tak było i gdyby wszyscy o tym wiedzieli, jak mógłby ktokolwiek wędrować z nadzieją? Czy byłoby wtedy czego się spodziewać?

— Ale sam przecież przyznasz, że w pojęciu skończoności jest coś duszącego. Stagnacja, mój drogi chłopcze, cóż bardziej niszczącego dla duszy niż stagnacja?

— Myślisz w ten sposób, bo do tej pory doświadczałeś prawdy tylko poprzez abstrakcyjne rozumowanie. Ja jednak zaprowadzę cię tam, gdzie smakuje się ją jak miód i gdzie jej uścisk jest jak uścisk oblubieńca. Nie będziesz więcej pragnął.

— Nie jestem pewien, czy rzeczywiście mógłbym zadowolić się gotową prawdą, która położy kres rozumowaniu, tak, jak zdaje się, to przedstawiasz. Czy mój umysł pozostanie wtedy wolny? Wiesz przecież, że tego nie mogę się wyrzec.

— Tak wolny, jak wolny jest ten, kto pije wodę. To, czy będzie pił czy też nie, jest jego wolnym wyborem, ale to, czy pijąc nie zamoczy ust, już nie.

Upiór zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

— Nie rozumiem tego porównania.

— Słuchaj! — odezwał się biały Duch. — Przecież byłeś kiedyś dzieckiem. Wtedy wiedziałeś, do czego służyć dociekania; pytałeś, bo chciałeś poznać odpowiedź i cieszyłeś się, kiedy ją znalazłeś. Stań się znów dzieckiem, choćby zaraz.

— Ale przecież kiedy stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce.

Wybrałeś złą drogę. Pragnienie zostało stworzo-

ne po to, by je gasić, a dociekania po to, by znaleźć prawdę. To, co nazywasz teraz swobodnym tokiem rozważań, ma dokładnie tyle samo wspólnego z celem, dla którego stworzony został twój umysł, ile masturbacja ma wspólnego z małżeństwem.

— No, jeżeli już nie możemy wyrażać się z szacunkiem, może przynajmniej nie musimy być wulgarni. Propozycja, abym w moim wieku powrócił do przyziemnej ciekawości lat chłopięcych, wydaje mi się po prostu niedorzeczna. W każdym razie twoje postrzeganie myśli jako pytań i towarzyszących im odpowiedzi można zastosować tylko do poznawania faktów. Kwestie teoretyczne i religijne to zgoła inny poziom dociekań.

— Ale nam nie potrzeba już religii: myślimy tylko o Chrystusie. Nie potrzeba już teorii. Chodź i zobacz. Zaprowadzę cię przed oblicze Przedwiecznego Faktu, Ojca wszystkiego, co rzeczywiste.

— Jestem zmuszony ostro zaprotestować przeciwko nazywaniu Boga „faktem”. Lepszym określeniem byłaby z pewnością „Najwyższa Wartość”. Nie można...

— Czy nie wierzysz nawet w to, że On istnieje?

— Istnieje? A cóż to jest istnienie? Czy ciągle musisz insynuować, że jakaś statyczna, gotowa rzeczywistość czeka po prostu „gdzieś tam”, aż ludzki rozum się do niej przystosuje? W ten sposób niepodobna mówić o wielkich tajemnicach. Gdyby rzeczywiście coś takiego istniało (pozwól mi skończyć), to, mój drogi chłopcze, powiem ci szczerze, wcale nie byłbym tym zainteresowany. Z religijnego punktu widzenia nie miałyby to żadnej wartości. Bóg jest według mnie kimś czysto duchowym: uosobieniem słodyczy, światła i tolerancji, no i służby, Dick, służby. Nie wolno nam zapominać o służbie.

— Skoro wygasło nawet pragnienie rozumu... — zaczął Duch, ale zaraz urwał, jakby się nad czymś zamyslił. Po chwili odezwał się znowu: — Czy potrafisz przynajmniej pragnąć szczęścia?

— Szczęście, mój drogi — odparł Upiór spokojnie — \_szczęście, jak się przekonasz, gdy będziesz starszy, można *znaleźć* w pełnieniu obowiązków. A to przypomina mi... Mój Boże, o mały włos byłbym zapominał. Oczywiście, że nie mogę pójść z tobą. Muszę *być* 2 powrotem w przyszły piątek, żeby wygłosić odczyt. Założyliśmy nieduże Towarzystwo Teologiczne. O, tak! Życie intelektualne w naszym mieście po prostu kwitnie. Może nie wzbija się na wyżyny... Daje się zauważyć pewne trudności, coś jakby brak panowania nad tematem, pewne zdezorientowanie. Właśnie dlatego jestem im potrzebny. Wzbudza to nawet godną politowania zawiść... Nie wiem czemu, ale zdaje się, że ludzie mniej panują nad sobą niż kiedyś. Nie możemy jednak zbyt wiele wymagać od ludzkiej natury. Mam wrażenie, że dokonam wśród tych ludzi czegoś wielkiego. Ale nie zapytałeś nawet, czego będzie dotyczył mój odczyt! Przyjmę w nim za punkt wyjścia tekst o dorastaniu do miary wielkości Chrystusa i na tej podstawie rozwinę myśl, która z pewnością wyda ci się zajmująca. Zwykle zapomina się o tym, że Jezus (tu Upiór skłonił się lekko) umarł jako stosunkowo młody człowiek. Gdyby żył dłużej, wyrósłby zapewne z niektórych swoich wcześniejszych poglądów, a mógł tego dokonać, jeśli by wykazał nieco więcej taktu i cierpliwości. Poproszę zebranych, aby się zastanowili, jaki kształt mogłyby przybrać dojrzałe poglądy Jezusa. To pytanie niezwyklej wagi. Jakże inne mogłoby być chrześcijaństwo, gdyby jego Założyciel osiągnął pełnię swej wielkości! Na koniec wykażę, jak wielkie znaczenie ma mój pogląd dla pogłębienia wi-

zji Ukrzyżowania. Dopiero teraz można w pełni pojąć, jak wielka była to katastrofa... zniszczyła wszelkie nadzieje. Ach, musisz już iść? Cóż, i na mnie pora. Żegnaj, drogi chłopcze. Bardzo się cieszę z naszego spotkania. Było bardzo pouczające i pobudzające do myślenia. Żegnaj, żegnaj, żegnaj!

Powiedziawszy to, Upiór skinął głową i obdarzył swego rozmówcę promiennym uśmiechem duchowego — bo chyba to właśnie miał oznaczać grymas bezcielesnych warg — a potem odwrócił się i zaczął nucić pod nosem „O jak potężne jest miasto Boga”.

Przez chwilę patrzyłem, jak odchodził, zaraz jednak nowa myśl odwróciła moją uwagę. Skoro trawa okazała się twarda jak kamień, czy nie dałoby się chodzić również po wodzie? Spróbowałem najpierw jedną nogą — stopa nie zanurzyła się pod powierzchnię. W następnej chwili odważnie dałem krok naprzód. Natychmiast upadłem na twarz i potłukłem się boleśnie. Zapomniałem, że woda, chociaż twarda, płynie jednak z dużą prędkością. Kiedy zdołałem wstać, odmiejsca, gdzie opuściłem brzeg, dzieliło mnie już około trzydziestu metrów. Nie zniechęciło mnie to do wędrówki w górę rzeki, oznaczało jednak, że pomimo szybkiego marszu posuwałem się bardzo powoli.

## 6

Chłodna, gładka powierzchnia przejrzystej wody przyniosła ulgę moim stopom. W godzinę zdołałem pokonać kilkaset metrów, ale potem wędrówka nabrała innego charakteru. Strumień zaczął płynąć szybciej, a wielkie płyty czy też wirujące wysepki pianny mknęły z nurtem, kalecząc mnie w nogi jak kamienie, gdy nie zdążyłem w porę uskoczyć na bok. Powierzchnia wody stała się nierówna, pojawiły się w niej zagłębienia i wybrzuszenia, które co prawda bardzo malowniczo zniekształcały widoczne na dnie kamienie, ale równocześnie wytrącały mnie z równowagi, tak że w końcu musiałem wydostać się na brzeg. Na szczęście tworzyły go tutaj wielkie, płaskie kamienie, po których szło się niemal bezboleśnie. Potężny, ale przyjemny dla ucha szum rozbrzmiewał wśród otaczających mnie drzew, aż w końcu po kilku godzinach marszu wyszedłem zza zakrętu i zobaczyłem, skąd ów hałas pochodzi.

Przede mną wznosiły się łagodnie zielone stoki wzgórz, tworząc obszerny amfiteatr okalający spienione, pulsujące jezioro, do którego woda spadała kaskadą po wielobarwnej skalnej ścianie. Ponownie zdałem sobie sprawę, że z moimi zmysłami stało się coś, co pozwoliło mi odbierać wrażenia nie do ogarnięcia w zwykłych warunkach. Na Ziemi nie można by w ogóle oglądać takiego wodospadu w całości: byłby na to zbyt wielki. Huk spadającej z tak wysoka wody musiałby być nie do zniesienia nawet z odległo-

ści trzydziestu kilometrów. Tutaj jednak moje zmysły pokonały natłok wrażeń jak okręt pokonujący ogromną falę. Ogarnęło mnie radosne uniesienie. Hałas wodospadu, pomimo swej potęgi, brzmiał jak potężny śmiech, jak gdyby gromada olbrzymów śmiała się, tańczyła, śpiewała i pohukiwała przy pracy.

Niedaleko miejsca, gdzie woda wpadała do jeziora, rosło samotne drzewo. Mokre od unoszącego się wodnego pyłu, na wpół przysłonięte tworzącymi się w drobinach piany łukami tęczy, rozbłyskujące jaskrawym upierzeniem niezliczonego ptactwa fruującego wśród gałęzi, piętrzyło się wielokształtnymi obłokami listowia niczym chmura oparów wstająca znad trzęsawiska. Gdzie nie spojrzeć, błyszcząły wśród liści złote jabłka.

Nagle moją uwagę przyciągnęło coś, co działo się o wiele bliżej: krzak głogu rosnący kilkanaście metrów ode mnie poruszał się jakoś nienaturalnie. Po chwili zrozumiałem, że to nie krzak się porusza, lecz coś czy ktoś stojący blisko niego od mojej strony. Wreszcie zrozumiałem, że to jeden z Upiorów. Skuliwszy się za krzakiem, jakby próbował się ukryć przed czymś wzrokiem, patrzył w moim kierunku i dawał mi znaki, żebym się schował. Ponieważ nie widziałem żadnego niebezpieczeństwa, stałem nieporuszenie.

Po chwili Upiór, rozejrzawszy się dokładnie na wszystkie strony, opuścił swoje schronienie. Nie mógł poruszać się zbyt szybko, bo trawa, po której szedł, raniła go boleśnie, ale najwyraźniej starał się jak najszybciej dotrzeć do następnego drzewa. Osiągnąwszy cel, stanął na baczność za drzewem, jakby nadal się ukrywał. W cieniu drzewa zobaczyłem go wyraźniej: był to mój znajomy w meloniku — Ikey, jak go nazywał Osilek. Dziesięć minut stał, dysząc z wysiłku i obserwując teren przed sobą, a potem wykonał skok do

następnego drzewa — o ile w ogóle można nazwać to skokiem. W ten sposób z wielkim wysiłkiem i ostrożnością mniej więcej po godzinie dotarł do Wielkiego Drzewa, a raczej w jego pobliże.

Okolo dziesięciu metrów od celu natrafił na przeszkodę; wokół Drzewa rósł pas lili, które dla Upiora stanowiły zaporę nie do pokonania. Równie dobrze mógłby próbować przejść przez zasieki przeciwczołgowe. Położył się i próbował przecisnąć między łodygami, ale rosły zbyt blisko siebie i nie dawały się zgiąć. Na dodatek przez cały czas drżał z przerażenia, że ktoś go odkryje. Przy najmniejszym podmuchu wiatru nieruchomiał skulony, a raz krzyk jakiegoś ptaka wypłoszył go tak, że wrócił do kryjówki za najbliższym drzewem. Jednak po chwili, gnany poząddliwością, podczołgał się znowu do Wielkiego Drzewa. Zobaczyłem, jak spleta dłonie i wije się w bezsilnej desperacji.

Wiatr przybierał na sile. Upiór załamywał ręce z rozpacz. W pewnej chwili zaczął ssać kciuk boleśnie przyszczypnięty przez łodygi dwóch lili poruszane silniejszym podmuchaem. Potem zaczęło wiać na dobre. Gałęzie Wielkiego Drzewa zakołysały się i już po chwili pół tuzina złotych jabłek poleciało w dół i spadło na Upiora oraz na ziemię wokół niego. W pierwszej chwili krzyknął głośno, ale zaraz opamiętał się i ucichł. Wydawało mi się, że siła uderzenia spadających na niego złotych jabłek zupełnie go obezwładni. I rzeczywiście, przez kilka minut leżał, nie mogąc wstać. Pojękiwał tylko i oglądał stłuczenia. Zaraz jednak z powrotem zabrał się do pracy. Zobaczyłem, że gorączkowo stara się napełnić kieszenie jabłkami. Oczywiście nie miało to sensu. Jego zapal powoli malał. Zrezygnował z pełnych kieszeni: będzie musiał zadowolić się dwoma jabłkami. Zrezy-

gnował z dwóch: weźmie jedno, ale za to największe. W końcu zrezygnował i z tego planu. Nie szukał na razie najmniejszego jabłka, starał się *znaleźć* dość małe, by je unieść.

Najbardziej niewiarygodne było to, że w końcu mu się udało. Kiedy przypomniałem sobie, jak ciężki był listek, który próbowałem podnieść, nie mogłem nie podziwiać tego nieszczęśnika, widząc, jak chwieje się na nogach, ale wstaje, trzymając oburącz najmniejsze z jabłek. Kulał od doznanych obrażeń, a dźwigany ciężar zginał go do ziemi. Pomimo to krok za krokiem, wciąż wykorzystując każdą najmniejszą osłonę, nieszczęsny Upiór niósł narzędzie -własnych tortur w stronę autobusu. Była to prawdziwa *via dolorosa*.

— Głupcze, zostaw to — odezwał się nagle potężny głos, nie przypominający żadnego ze słyszanych dotychczas. Był grzmiący, a równocześnie perlisty jak woda. Z przerażającą pewnością uświadomiłem sobie, że to wodospad przemówił: na jego miejscu (choć wyglądał nadal jak zwykły wodospad) zobaczyłem te raz jasną figurę anioła jakby ukrzyżowanego na skale. Przelewał nieustannie ku otaczającym go lasom swoją huczną radość.

— Głupcze — odezwał się znowu — zostaw to. Nie możesz zabrać tego jabłka ze sobą, w Piekło nie ma na nie dość miejsca. Zostań tutaj, tu nawet liście i źdźbła trawy nauczą cię z radością, jak jeść takie jabłka.

Nie wiem, czy Upiór usłyszał te słowa, czy też nie. W każdym razie, po kilkuminutowym postoju, zebrał się znów w sobie, aby stawić czoło męczarniom, i jeszcze ostrożniej ruszył w dalszą drogę. W końcu straciłem go z oczu.

## 7

Chociaż przyglądając się niepowodzeniom Upiora w meloniku, nie traciłem spokoju, teraz okazało się, że po jego odejściu nie mogę znieść sam na sam obecności Wodnego Olbrzyma. Nie wyglądało co prawda na to, żeby mnie w ogóle zauważył, ale i tak poczułem się nieswojo. Obawiam się, że gdy ruszałem z powrotem po płaskich kamieniach w dół strumienia, w moich ruchach było sporo udawanej nonszalancji. Zaczynałem już odczuwać zmęczenie. Przyglądając się srebrzystym rybkom śmigającym na dnie rzeki, zapragnąłem, by głębina okazała się dostępna również dla mnie. Ach, jak bardzo tęskniłem za kąpielą!

— Już z powrotem? — zapytał nagle ktoś stojący nieopodal. Obejrzałem się i zobaczyłem opartego o drzewo wysokiego Upiora żującego widmowe cygaro. Kiedyś był to najwyraźniej szczupły, doświadczony przez życie siwy mężczyzna. Jego głos, niski i szorstki, zdradzał staranne wykształcenie. Jednym słowem, był to ten typ człowieka, który zawsze wzbudzał we mnie instynktowne zaufanie.

— Nie wiem — powiedziałem. — A pan?

— Ja wracam — odparł. — Zdaje się, że widziałem już wszystko, co było do zobaczenia.

— A więc nie zamierza pan zostać?

— To zwykła propaganda — odpowiedział. — Nikt nigdy nie brał poważnie pod uwagę tego, że moglibyśmy tu zostać. Owoce są niejadalne, nie można nawet napić się wody, a chodzenie po trawie pochła-

nią większość czasu. Zwykły człowiek nie mógłby tu mieszkać. Całe to gadanie o zostawianiu na stałe to po prostu zwykły chwyt reklamowy.

— To po co wybrał się pan tutaj?

— Och, sam nie wiem. Chciałem się rozejrzeć. Lu bię widzieć wszystko na własne oczy. Gdziekolwiek się znalazłem, musiałem zawsze zobaczyć to, co akurat było w modzie. Kiedy pojechałem na Wschód, wybrałem się do Pekinu. Kiedy...

— Jak było w Pekinie?

— Nic szczególnego. Nic, tylko mury i mury. Pułapka dla turystów. Widziałem właściwie wszystko: wodospad Niagara, Piramidy, Salt Lake City, Tadz Mahal...

— A jaki jest Tadz Mahal?

— Nic ciekawego. Chwyt reklamowy jak wszystko inne. Wszystkim *rządzą* ci sami ludzie. Jedna wielka firma na całym świecie. Po prostu biorą atlas i decydują, gdzie umieścić kolejną atrakcję turystyczną. Nie ważne, co wybiorą. Jeśli zrobią dobrą kampanię reklamową, to wszystko przejdzie.

— Pan, zdaje się, mieszkał jakiś czas... eee... tam, na dole, w Mieście?

— W Piekło? Tak, mieszkałem tam. Też klapa. Każą się spodziewać ognia, diabłów i różnych znanych postaci smażących się na ruszcie, Henryka VIII i jemu podobnych, a na miejscu okazuje się, że to po prostu zwykłe miasto.

— Jeżeli o mnie chodzi, wolę już zostać tutaj.

— A ja nie mogę zrozumieć, czym się tak wszyscy zachwycają — powiedział doświadczony przez życie Upiór. — Widoki jak w każdym parku, a poza tym okropnie niewygodnie.

— Podobno ten, kto tu zostanie... hrn, stwardnieje... zaaklimatyzuje się.

— Już to gdzieś słyszałem — odparł Upiór. — Kłamstwo Jak wszystkie inne. Całe życie wmawiano mi podobne rzeczy. A w szkole, że łacina z biegiem czasu okaże się łatwiejsza. Po miesiącu małżeństwa jakiś idiota próbował mi wmówić, że początki *zawsze są* trudne, ale jeżeli wykażę dość taktu i cierpliwości, to wkrótce „ustatkuję się” i będę szczęśliwy! A przez obie wojny, czy nie dość się nasłuchałem o tym, jak to będzie wspaniale potem, jeśli tylko teraz okażę się dobrym chłopcem i pozwolę do siebie strzelać? To jasne, że tutaj zastosują te same chwytaki, o ile ktoś będzie na tyle głupi, żeby ich słuchać.

— Ale kim są ci „Oni”? Może tym miejscem *rządzi* ktoś inny?

— Całkiem nowy właściciel, co? Niech pan się nie da nabrać! Właściciel n i g d y się nie zmienia. To wszystko jedna szajka. Kochana, dobra Mamusia przychodzi wieczorem, kiedy już leżysz w łóżku, i wyciąga z ciebie wszystko, co chce wiedzieć, a w końcu i tak wychodzi na jaw, że trzyma sztamę z Ojcem. Czy nie okazało się, że we wszystkich wojnach obie strony były zaopatrywane przez te same fabryki broni? Za Żydami, Watykanem, dyktaturą, demokracją i za całą resztą stoi tylko jedna firma. Cały ten kram tu, na górze, jest w tych samych rękach co tamto Miasto. Nie źle się bawią naszym kosztem.

— Myślałem, że ci na górze prowadzą wojnę z tymi na dole?

— Pewnie, każdy tak kiedyś myślał. To ich oficjalna wersja. Ale czy ktoś kiedyś widział ich walczących? Ma się rozumieć, że tak mówią. Tylko że gdyby naprawdę prowadzili wojnę, zabraliby się do roboty. To chyba jasne, że gdyby ta ich oficjalna wersja była <sup>2</sup>godna z prawdą, wystarczyłby jeden atak, żeby nasze Miasto przestało istnieć. Mają na to dość siły, Gdy-

by chcieli nam pomóc, mogliby to zrobić w każdej chwili. AJe zdaje się, że na zakończeniu tej tak zwanej „wojny” nie bardzo im zależy. Cała sztuka polega na tym, żeby ten stan rzeczy utrzymać jak najdłużej.

Poczułem się nieswojo; wywód mojego rozmówcy wydał mi się aż nadto wiarygodny. Zamilkłem.

— Zresztą — odezwał się znowu Upiór — czy ko muś zależy na tym, żeby być uratowanym? Co, u diabła, miałby do roboty tutaj?

— Albo tam? — dodałem.

— Właśnie — przytaknął Upiór. — Mają nas tak czy inaczej.

— A co pan chciałby robić, gdyby miał możliwość” wyboru?

— Też coś! — zachnął się Upiór, a w jego głosie wyczułem nutkę triumfu. — Ja mam obmyślać plany? To Właściciele powinni wymyślić coś, żeby się nam nie nudziło, nie sądzi pan? To należy do ich obowiązków. Dlaczego mielibyśmy ich wyręczać? Ten sam błąd popełniają wszyscy księża i moralizatorzy. Ciągle nam mówią, że to my powinniśmy się zmienić. A przecież, skoro ci, co tym wszystkim kręcą, są tacy mądrzy i silni, to dlaczego sami nie wymyślą czegoś, co by odpowiadało ich klientom? Weźmy na przykład te brednie, że kiedy stwardnieją nam stopy, chodzenie po trawie przestanie być nieprzyjemne. Jak by się panu podobało, gdyby znalazł się w hotelu, gdzie podawano by tylko zepsute jajka, a kiedy poskarżyłby się pan szefowi, ten, zamiast przeprosić i zmienić ku charza powiedziałby, że jeśli pan się postara, to nawet zepsute jajka będą panu smakować? Pójdę już — do dał po chwili milczenia. — Idzie pan ze mną?

— Nie wydaje mi się, żeby warto było iść z panem dokądkolwiek — odpowiedziałem. Nagle poczułem

się okropnie przygnębiony. — Tutaj przynajmniej nie pada — dorzuciłem.

— Teraz nie — przyznał doświadczony przez życie Upiór. — Ale nigdy jeszcze nie widziałem pogodnego poranka, który prędzej czy później nie przyniosłby deszczu. A kiedy tutaj pada, to, do licha, co to musi być za deszcz! Ach, nie pomyślał pan o tym? Nie przyszło panu do głowy, że biorąc pod uwagę właściwości wody, jaką tutaj mają, każda kropla deszczu przewierci pana na wylot jak kula z karabinu maszynowego? To taki niewinny żarcik. Najpierw zadręcą ludzi ziemią, po której nie sposób chodzić, i wodą, której nie sposób pić, a potem dziurawią ich jak sitko. Ale ze mną tak łatwo im nie pójdzie.

Po kilku minutach oddalił się.



Siedziałem nieruchomo na kamieniu nad brzegiem rzeki, przygnębiony jak jeszcze nigdy w życiu. Dotychczas nie przyszło mi do głowy wątpić w czystość intencji Potężnych Ludzi ani w zasadniczą przychylność ich kraju, chociaż sam nie mogłem mieszkać tu długo. Przemknęło mi co prawda przez myśl, że gdyby Potężni rzeczywiście byli tak dobrzy, jak o sobie mówią, mogliby zrobić dla mieszkańców Miasta coś więcej, niż tylko wychodzić im na spotkanie na wielką równinę. Jednak nasuwające mi się teraz rozwiązanie było wręcz przerażające. Może w ogóle nigdy nie mieli wobec nas przyjaznych zamiarów? Może pozwalano nam, Upiorom, na tę wycieczkę po to, by sobie z nas zadrwić? W mojej pamięci odżyły wspomnienia okrutnych mitów i doktryn. Myślałem o karze, którą bogowie wymierzali Tantalowi, i o tym urywku z Apokalipsy, który mówi o wielkim dymie wznoszącym się nieustannie z Piekła przed duszami błogosławionych. Przypominałem sobie, jak biedny Cowper, śniąc, że jednak nie zostanie potępiony i równocześnie wiedząc, że sen ten nie może być prawdą, powiedział: „Oto najostrzejsze strzały w Jego kołczanie”. Na dodatek to, co doświadczony przez życie Upiór powiedział o deszczu, oczywiście musiało być zgodne z prawdą. Nawet krople rosy strząśnięte z jakiejś gałęzi rozszarpałyby mnie w kawałki. Nigdy przedtem o tym nie pomyślałem. Przecież mało brakowało, a mógłbym podejść tam, gdzie opadała woda rozpryskująca się wokół wodospadu!

Poczucie zagrożenia, które nie opuściło mnie całkowicie, odkąd wysiadłem z autobusu, ukłuło mnie teraz natrętniej niż dotąd. Spojrzałem wokół siebie — drzewa kwiaty i mówiący wodospad wyglądały tak złowrogo, że nie mogłem znieść ich widoku. Tu i ówdzie przelatywały połyskujące owady. Czy któryś z nich lecący w moim kierunku nie mógłby przebić mnie na wylot? A gdyby usiadł mi na głowie, czy nie przygniótłby mnie do ziemi? Przerazenie szeptało mi: „To nie miejsce dla ciebie”. Przypomniałem sobie lwy.

Nie bardzo wiedząc co robić, wstałem i ruszyłem w stronę gęstwiny drzew, byle dalej od rzeki. Nie zdecydowałem jeszcze, czy chcę wracać do autobusu, ale wolałem unikać otwartej przestrzeni. Gdybym tylko mógł znaleźć chociaż cień dowodu, że zamieszkanie w tym kraju jest możliwe — że możliwość wyboru nie jest tylko okrutną farsą — zostałbym z pewnością. Tak rozmyślając, posuwałem się ostrożnie naprzód, podejrzliwie rozglądając się dookoła. Mniej więcej po pół godzinie wyszedłem na skraj małej polanki z kępą zarośli pośrodku. Zatrzymałem się, bo nie miałem odwagi przeciąć otwartej przestrzeni i nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam.

Jakaś Zjawa kuśtykała właśnie przez polankę tak szybko, jak tylko pozwalał jej na to nieprzyjazny grunt. Oglądała się przy tym przez ramię, jakby ją ktoś gonił. Zjawa była kiedyś kobietą. Przyszło mi na myśl, że musiała chyba być bardzo elegancka, chociaż teraz jej widmowy strój wyglądał upiornie w świetle poranka. Najwyraźniej zmierzała w stronę zarośli. Nie mogła naprawdę schronić się w ich gęstwinie — gałązki i liście były na to zbyt twarde — starała się jednak przycisnąć do nich tak blisko, jak tylko mogła. Myślała najwyraźniej, że w ten sposób stanie się mniej widoczna.

W chwilę później usłyszałem kroki i ujrzałem jednego z Jaśniejących Duchów; odgłos kroków zawsze zwracał moją uwagę, bo my, Upiory, poruszaliśmy się całkiem bezgłośnie.

— Idź sobie! — zapiszczała Zjawa. — Zostaw mnie! Nie widzisz, że chcę być sama?

— Ale przecież potrzebujesz pomocy! — odpowiedział Duch.

— Jeżeli masz w sobie choć trochę przyzwoitości — odparła Zjawa — to nie podchodź do mnie. Nie potrzebuję pomocy. Chcę być sama. Idź" sobie wreszcie. Wiesz, że po tych obrzydliwych kolcach nie mogę przed tobą uciec. To wstrętne tak wykorzystywać swoją przewagę.

— Ach, więc o to ci chodzi! — odparł Duch. — To się wkrótce zmieni. Ale idziesz w złym kierunku. Po winnaś iść tam, w stronę gór. Przez całą drogę możesz opierać się na moim ramieniu. Nie mogę cię tam z a n i e ś ć, ale nie będziesz prawie wcale czuć swego ciężaru, a każdy następny krok będzie mniej bolesny.

— Nie boję się bólu. Dobrze o tym wiesz.

— No to o co ci chodzi?

— Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Wyobrażasz sobie, że pójde między ludzi, kiedy t a k wyglądam.

— A dlaczego by nie?

— Nigdy bym nie przyjechała, gdybym wiedziała, że wszyscy będziecie tacy wystrojeni.

— Moja droga, widzisz przecież, że ja w ogóle nie jestem ubrana.

— Nie o tym myślałam. Idź sobie wreszcie.

— Nie powiesz mi nawet, o co chodzi?

— Jeżeli do tej pory nie rozumiałeś, to wyjaśnianie nic nie pomoże. Jak mogłabym pokazać się

takim stanie ludziom, którzy mają prawdziwe ciała? To gorzej niż gdybym na Ziemi pokazała się nieubrana. Wszyscy zobaczą mnie na wylot.

— Rozumiem, ale wszyscy wyglądaliśmy dość upiornie, kiedy znaleźliśmy się tu po raz pierwszy. To mija z czasem. Chodź, przekonaj się.

— Ależ oni mnie zobaczą!

— No to co?

— Wolałabym umrzeć!

— Przecież to już za tobą. Nie ma sensu znowu do tego wracać.

Zjawa wydobyła z siebie coś przypominającego szloch, a jednocześnie wściekle warknięcie:

— Wolałabym się nigdy nie urodzić! Po co w ogóle przychodzimy na świat?

— Po to, żeby doznać niezmiernego szczęścia. W każdej chwili możesz mu wyjść na spotkanie...

— Przecież powiedziałam ci, że mnie zobaczą.

— Za godzinę zupełnie o tym zapomnisz, a jutro będziesz się z tego śmiała. Pamiętasz, jak to było na Ziemi, czasem szklanka była zbyt gorąca, żeby jej dotknąć, ale pomimo to można było z niej pić? Ze wstydem jest podobnie: jeśli go przyjmiesz i wypijesz do dna, wzmocni cię. Ale spróbuj zrobić z nim coś innego, a sparzysz się.

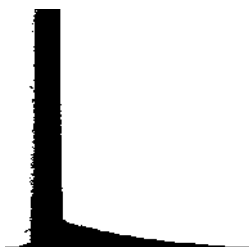
— Naprawdę myślisz... — odezwała się Zjawa i na tym urwała.

W największym napięciu czekałem na jej odpowiedź; czułem, że zależy od niej moje przeznaczenie. Byłem gotów paść jej do nóg i błagać, żeby ustąpiła.

— Tak — odezwał się Duch. — Chodź, spróbuj.

Miałem już wrażenie, że Zjawa usłucha. Poruszyła się nawet, ale zaraz krzyknęła:

— Nie, nie mogę! Powiedziałam ci, że nie mogę. Kiedy mówiłeś, przez chwilę zdawało mi się... ale



kiedy przychodzi co do czego... Nie masz prawa prosić mnie o to. To obrzydliwe. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Nigdy. To nieuczciwe, powinni byli nas ostrzec. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, nigdy bym tu nie przyjechała. A teraz, proszę, *idź wreszcie*.

— Moja droga — odezwał się tamten — czy mogłabyś choćby przez chwilę spróbować nie myśleć o sobie?

— Słyszałeś moją odpowiedź — odparła Zjawa chłodno, chociaż cały czas zbierało się jej na płacz.

— A zatem pozostał tylko jeden sposób — powie dział Duch i ku mojemu zdziwieniu przytknąwszy do ust róg zadał potężnie.

Musiałem zatkać uszy. Chyba zatrzęsła się ziemia; cały las drżał i dzwonił od dźwięku rogu.

Przypuszczam, że musiało minąć trochę czasu (choć wtedy zdawało mi się, że wszystko dzieje się równocześnie), zanim usłyszałem tętent kopyt, z początku bardzo odległy. Zbliżył się znacznie, nim zdążyłem go rozpoznać, a po chwili był już tak blisko, że zacząłem rozglądać się za jakąś bezpieczną kryjówką. Niebezpieczeństwo ogarnęło nas ze wszystkich stron. Przez leśne polany, z grzmiącym odgłosem kopyt, pędziło stado jednorożców. Najmniejszy z nich miał co najmniej dwa i pół metra w kłębie, wszystkie były białe niczym łabędzie, tylko ich oczy błyskały czerwienią, a lśniące rogi miały kolor indygo. Wciąż pamiętam mlaskanie mokrej trawy pod ich kopytami, trzask łamanego poszycia, parskanie i rzenie. Pamiętam, jak podrzucały zady i pochylały rogi w udawanej walce. Patrząc na nie, zastanawiałem się, do jakiej to prawdziwej bitwy mogą się tak przygotowywać. Usłyszałem krzyk Zjawy: zdaje się, że wyskoczy-

ła z krzaków... może w stronę stojącego tam Ducha, nie jestem jednak tego pewien, bo nerwy mnie zawiodły i rzuciłem się do ucieczki. Nie zważyłem teraz na ból, jaki sprawiał mi bieg, nie odważyłem się zatrzymać ani na chwilę. Dlatego też nie wiem, co wydarzyło się potem.

# 9

Dokąd to? — zagadnął mnie ktoś z silnym szkockim akcentem.

Zatrzymałem się i rozejrzałem wokoło, Odgłos kopyt jednorozców dawno już ucichł w oddali, a ja znalazłem się na otwartej przestrzeni. Ujrzałem szczyty gór, na których wciąż spoczywało nieruchome światło poranka, a bliżej mnie dwie lub trzy sosny rosnące na niewielkim pagórku wśród płaskich kamieni i wrzosu. Na jednym z kamieni siedział bardzo wysoki człowiek, niemal olbrzym, z długą, spływającą na piersi brodą. Nie miałem do tej pory okazji stanąć twarzą w twarz z jednym z Potężnych. Teraz odkryłem, że widzi się ich jakby podwójnie. Przede mną siedział świetlisty, majestatyczny bóg, którego nieśmiertelny duch ciążył nade mną niczym góra złota, a równocześnie widziałem przed sobą zwykłego ogorzałego staruszka. Wyglądał na pasterza — takiego, którego turyści z powodu jego uczciwości uważają za prostaka, a sąsiedzi z tego samego powodu nazywają „chytrą sztuką”. Miał spojrzenie człowieka, który długo mieszkał na otwartej, bezludnej przestrzeni. Domyślałem się, że jego oczy okolone były kiedyś zmarszczkami, które zniknęły z jego twarzy, gdy obmyła ją nieśmiertelność.

— Nie... nie jestem pewien — odparłem.

— A zatem usiądź, porozmawiamy — zaproponował, posuwając się, żeby zrobić mi miejsce.

— Nie wiem, kim pan jest — powiedziałem, siadając obok niego na kamieniu.

— Jestem George — odparł. — George MacDonald.

— Och! — zawołałem. — A więc pan mi wreszcie powie! Pan jeden nie będzie mnie zwodził!

Potem, przypuszczając, że okazanie obcemu tak wielkiego zaufania wymaga wytłumaczenia, spróbowałem z drżeniem wyjaśnić memu rozmówcy, jak ogromne znaczenie miały dla mnie jego książki. Stałem się opowiedzieć, jak pewnego mroźnego popołudnia na Leatherhead Station po raz pierwszy kupiłem jego książkę pod tytułem *Phantastes*. Miałem wtedy szesnaście lat i wydarzenie to było dla mnie tym, czym dla Dantego widok Beatrycze: „Oto początek Nowego Życia”. Wyznałem, jak przez długi czas moje Nowe Życie ociągało się, obejmując tylko sferę wyobraźni, jak powoli i niechętnie zacząłem przyznawać, że chrześcijaństwo autora miało z moimi odczuciami związek więcej niż przypadkowy, jak bardzo starałem się nie widzieć, że tym, co naprawdę urzekło mnie w jego książkach, jest świętość. On jednak dotknął mojej ręki, aby mi przerwać.

— Synu — powiedział — nie znajduję słów, by wyrazić, jak ważna jest dla mnie twoja miłość, cała twoja miłość. Ale żeby nie tracić cennego czasu (wyglądał teraz na Szkota bardziej niż przedtem), powiem ci, że znam dobrze całą tę historię. Prawdę mówiąc, zauważyłem, że pamięć zawodzi cię co do kilku szczegółów.

— Ach tak! — powiedziałem tylko i zamilkłem.

— Na początku — podjął Nauczyciel — chciałeś zapytać o coś znacznie pożyteczniejszego.

— Zupełnie zapomniałem. Nie zależy mi już tak bardzo na odpowiedzi, chociaż nadal mnie to ciekawi. Chodzi o Upiory. Czy niektóre z nich rzeczywiście w i ś c i e zostają? Czy mogą zostać? Czy naprawdę mogą dokonać wyboru? I jak się tutaj dostają?

— Nigdy nie słyszałeś oRefrigerium? Człowiek z twoim wykształceniem mógł przeczytać na ten temat u Prudencjusza, że nie wspomnę Jeremiego Taylora.

— Słowo wydaje mi się znajome, ale obawiam się, że nie pamiętam, co oznacza.

— To, że potępieni mają czasem wakacje i mogą urządzić wycieczki.

— Wtedy przyjeżdżają tutaj?

— Jeśli zechcą. Oczywiście większość nie chce, przez własną głupotę. Wolą wracać na Ziemię, żeby płać głupie figle biednym, pomyłonym kobietom, które wy nazywacie mediami, albo udowodnić, że jakiś dom wciąż jeszcze do nich należy; mówi się wtedy, że w takim domu straszy. Niektórzy szpiegują własne dzieci. A duchy pisarzy przesiadują w bibliotekach, żeby się przekonać, czy ktoś jeszcze czyta ich książki.

— Ale jeżeli wybiorą się tutaj, czy mogą zostać na zawsze?

— Tak. Powinieneś wiedzieć, że tak właśnie postąpił cesarz Trajan.

— Nic z tego nie rozumiem. Czy wyrok potępienia nie jest ostateczny? Czy rzeczywiście można dostać się z Piekła do Nieba?

— Wszystko zależy od tego, co rozumiesz przez Niebo i Piekło. Dla tego, kto opuszcza szare miasto, nie jest ono Piekłem, lecz Czyśćcem. I lepiej nie nazywaj tego miejsca Niebem. Nie jesteśmy jeszcze w Głębinach Niebios. — Tu mój rozmówca uśmiechnął się do mnie. — Możesz je nazwać Doliną Życia, chociaż dla tych, którzy tu pozostają, od początku jest ona Niebem. A smutne ulice tamtego miasta możesz nazwać Doliną Śmierci: dla tych jednak, którzy tam zostaną, jest ona od pierwszej chwili Piekłem.

Zdaje się, że Nauczyciel dostrzegł moje zakłopotanie, bo zaraz odezwał się znowu:

— Synu, teraz jeszcze nie potrafisz tego pojąć. Kiedy Anodos spojrział przez bramy Wieczności, nie potrafił opisać tego, co tam zobaczył. Nie rozminiesz się jednak z prawdą, jeżeli powiesz, że kiedy dobro i zło osiągają swoją pełnię, obejmują także przeszłość. Dla zbawionych nie tylko ta Dolina, ale i całe ziemskie życie wydaje się Niebem. A dla potępionych nie tylko półmrok tamtego miasta, ale także to, co przeżyli na Ziemi, jest Piekłem. Śmiertelnicy tego nie pojmują. Kiedy spotyka ich cierpienie, mówią: „Nawet szczęście w Niebie nie wynagrodzi mi tego” i nie wiedzą, że gdy osiągną Niebo, obejmie ono ich przeszłość i przemieni także i tamto cierpienie w chwałę. A oddając się jakiejś grzesznej przyjemności, mówią: „Dla tej jednej chwili warto ponosić konsekwencje”. Nie wyobrażają sobie bowiem, że potępienie sięgnie nawet w ich najdalszą przeszłość i zatruje także i tę chwilę. Ta przemiana zaczyna się jeszcze za ich życia. Przeszłość dobrego człowieka zmienia się tak, że nawet grzechy, które zostały mu odpuszczone i smutki, które wspomina, nabierają posmaku Nieba; przeszłość złoźyńcy natomiast staje się równie ponura jak on sam. Dlatego przy końcu świata, kiedy w tym kraju wszędzie słońce, a półmrok na dole zmieni się w noc, Błogosławieni powiedzą: „Nigdy nie przebywaliśmy gdzie indziej, jak tylko w Niebie”, a Potępieni przyznają: „Zawsze byliśmy w Piekło”. I jedni, i drudzy poznają prawdę.

— Czy nie jest to zbyt okrutne?

— Miałem na myśli prawdziwy sens tego, co powieją- W języku Potępionych zostanie to bez wątpienia wyrażone inaczej. Jeden powie, że zawsze lepiej lub gorzej służył swojemu krajowi, inny — że poświęcił wszystko dla Sztuki, jeszcze inny — że nigdy nie dał się nabrać, a znowu inny — że, dzięki Bogu, zawsze umiał

zadbać o własne interesy. A prawie wszyscy powiedzą, że przynajmniej pozostali wierni sobie.

— A Zbawieni?

— Ach, Zbawieni... to, czego doświadczą, można by opisać jako przeciwieństwo fatamorgany. Dolina łez, w której przebywali, z perspektywy czasu okaże się bijącym źródłem, a słońca pustynia, której doświadczyli na swojej drodze, stanie się w ich pamięci tym, czym była naprawdę — krainą rozlanych wód.

— A więc ci, co mówią, że Niebo i Piekło to stany umysłu, mają rację?

— Sza, nie bluźnij — przerwał mi poważnie. — Piekło jest stanem umysłu. Nie mógłbyś powiedzieć nic bardziej zgodnego z prawdą. Każdy stan umysłu pozostawiony sam sobie, każde zamknięcie się stworzenia w lochach własnego umysłu zmienia się w końcu w Piekło. Ale Niebo nie jest stanem umysłu. Niebo jest samą rzeczywistością. Wszystko, co na prawdę realne, ma swoje miejsce w Niebie. Wszystko, co chwiejne, zostanie zachwiane, a pozostanie tylko to, co nigdy się nie zachwieje.

— Ale czy po śmierci naprawdę istnieje możliwość wyboru? Moi znajomi katolicy zdziwiliby się, bo we dług nich dusze w Czyśćcu już są zbawione. Ale moim znajomym protestantom też by się to nie spodobało, bo oni z kolei uważają, że drzewo, które upada, należy uznać za już powalone.

— Może i jedni, i drudzy mają rację. Nie zaprzętaj sobie głowy takimi pytaniami. Nie zrozumiesz do końca, jak się mają do siebie wybór i czas, dopóki nie zostawisz ich obydwu za sobą. I nie po to się tu znalazłeś, żeby badać podobne ciekawostki. To, co na prawdę powinno cię interesować, to sama istota wyboru, który się tu dokonuje, a masz okazję przyjrzeć mu się z bliska.

— Ale to też wymaga wyjaśnienia — powiedzialem. — Co wybierają te dusze, które decydują się wrócić (bo innych na razie nie spotkałem)? I jak mogą dokonać takiego wyboru?

— Milton miał rację — odparł Nauczyciel. — Wybór, jakiego dokonuje każda dusza idąca na zatrącenie, może być wyrażony słowami: „Lepiej królować w Piekło, niż służyć w Niebiosach”. Potępieni zawsze obstają przy zachowaniu czegoś dla siebie, nawet za cenę cierpienia. Zawsze znajdź się coś, co jest im droższe niż radość, to znaczy niż rzeczywistość. Podobnie bywa z zepsutym dzieckiem, które prędzej zrezygnuje z zabawy i kolacji, niż powie „przepraszam” i pogodzi się z innymi. Mówi się wtedy, że jest obrażone. Ale w dorosłym życiu nazywacie to znaczenie wspaniałej i różnorodnej — gniewem Achilleasa, dumą Koriolana, zemstą, ambicją, urażoną cnotą, tragiczną wielkością lub godnością osobistą.

— A więc nie ma potępionych z powodu niskich grzechów? Z powodu zmysłowości?

— Na pewno są i tacy. Człowiek zmysłowy zaczyna od podążania za przyjemnością, choć jest ona nie wielka. Tym mniejszy jest zatem jego grzech. Przychodzi jednak chwila, kiedy pomimo że przyjemność staje się coraz to mniejsza i mniejsza, a pożądanie wciąż bardziej palące, i pomimo że taki człowiek wie, iż w ten sposób nigdy nie osiągnie radości, zaczyna przedkładać nad prawdziwą radość pieszczotę niezaspokojonej żądz i za nic nie da jej sobie odebrać. Będzie gotów walczyć o nią na śmierć i życie. Chciałby się podrapać, ale nawet wtedy, gdy już nie może tego zrobić, woli nadal odczuwać swędzenie, niż zostać go pozbawionym.

Nauczyciel zamilkł na kilka minut, a potem odeś się znowu:

— Musisz wiedzieć, że wybór ten przyjmuje niezliczenie wiele form. Czasem są one tak dziwne, że na Ziemi nikt nawet sobie ich nie wyobraża. Niedawno przybył tu, a potem odszedł pewien człowiek: sir Archibald. W ziemskim życiu nie interesowało go nic poza życiem po śmierci. Jego książkami na ten temat można by zapełnić pokaźną półkę. Zaczynał od filozofii, ale potem zajął się badaniem ludzkiej psychiki. Stało się to z czasem jedynym jego zajęciem: prowadził badania, wykładał, wydawał czasopismo. Dużo podróżował; wygrzebywał dziwne historie wśród łamów tybetańskich, przechodził inicjacje szczepów w środkowej Afryce. Dowody, coraz to więcej i więcej dowodów, oto czego potrzebował. Doprowadzało go do szału, jeżeli ktoś zajmował się czymkolwiek innym. Wpakował się w tarapaty podczas jednej z ostatnich wojen: jeździł po całym kraju apelując o zaprzestanie walk, bo uważał, że marnowano w ten sposób pieniądze, które należało przeznaczyć na jego badania. W swoim czasie biedak umarł i znalazł się tutaj. Nie było siły, która mogłaby go odciągnąć od decyzji pozostania i podjęcia wędrówki w stronę gór. Myślisz, że to mu pomogło? Nasz kraj nie był dla niego odpowiednim miejscem — wszyscy, którzy tu trafili, znali życie po śmierci z pierwszej ręki. Nikt w najmniejszym nawet stopniu nie interesował się jego dowodami. Nie było już czego dowodzić: jego zawód po prostu przestał istnieć. Oczywiście, gdyby tylko sir Archibald przyznał, że środek uznał za cel sam w sobie i po prostu uśmieł się porządnie ze swojej pomyłki, mógłby zacząć wszystko od początku jak dziecko i osiągnąć pełnię radości. Ale nie zrobił tego. Radość w ogóle go nie obchodziła. W końcu odszedł.

— Niewiarygodne! — powiedziałem.

— Tak sądzisz? — zapytał Nauczyciel, *patrzac* na

mnie przenikliwie. — Takie zachowanie jest ci bliższe, niż myślisz. Trafiali się już ludzie tak pochłonięci udowadnianiem istnienia Boga, że w efekcie sam Bóg nic już dla nich nie znaczył... tak jakby nie miał On do roboty nic innego, jak tylko *i s t n i e ć*! Byli i tacy, którzy trudniąc się rozprzestrzenianiem chrześcijaństwa, nie mieli już czasu myśleć o Chrystusie. Czy nie widziałeś tego nigdy i w mniejszych sprawach? Czyś nigdy nie widział miłośnika książek, który zgromadziwszy wszystkie pierwsze wydania i egzemplarze z autografem, nie miał już siły ich czytać? Albo organizatora akcji dobroczynnych, który przestał kochać biednych? To najbardziej wyrafinowana pułapka.

Ponieważ chciałem zmienić temat rozmowy, zapytałem, dlaczego Potężni, tak pełni miłości, nie zjedzą do Piekła, aby uwolnić stamtąd Upiory? Dlaczego zadawała ich spotkanie przybyszów na równinie? Można by się po nich spodziewać bardziej walecznej miłości.

— Może zrozumiesz to lepiej, zanim stąd odesziesz — odparł mój rozmówca. — Na razie powiem ci tylko tyle, że wszyscy oni wyszli Upiorom na spotkanie dalej, niż możesz to zrozumieć. Sensem naszego życia jest podążanie coraz to dalej w góry. Każdy z nas przerwał swoją wędrówkę i przemierzył z powrotem niezmierzone odległości w nadziei ocalenia kilku z was. Oczywiście, sprawia nam to również radość, ale nie możesz nas za to winić! A poza tym, nie byłoby sensu wychodzić jeszcze dalej, nawet gdyby to było możliwe. Nie można pomagać wariatom, same mu zmieniając się w wariata.

— Ale co będzie z tymi, którzy nigdy nie dotrą do przystanku?

— Każdy, kto tego chce, dotrze do niego. Nie obadaj się. Ostatecznie ludzie dzielą się tylko na dwie

kategorie: tych, którzy mówią Bogu „bądź wola Twoja” i tych, do których Bóg powie na końcu: „bądź wola twoja”. Ci, którzy są w Piekło, są tam z wyboru. Bez ich osobistego wyboru nie byłoby Piekła. Nie ma duszy, która jeśli pragnie radości poważnie i stale, miałaby jej nie osiągnąć. Ci, którzy szukają, znajdują, a tym, którzy kołaczą, jest otworzone.

W tej właśnie chwili przerwała nam jakaś Zjawa; mówiła coś bardzo szybko i z przejęciem. Obejrzawszy się, zobaczyliśmy, że zwraca się do jednego z Potężnych — była tak zajęta rozmową, że wcale nas nie zauważyła. Co jakiś czas towarzyszący jej Potężny Duch próbował wtrącić choćby jedno słowo, ale nie mógł. Monolog Zjawy brzmiał mniej więcej tak:

— Och, nie wyobrażasz sobie nawet, co przeżyłam, dziwię się, że w ogóle się tu znalazłam, miałam przyjechać z Elinor Stone, umówiliśmy się na rogu Sink Street; powiedziałam jej zupełnie jasno, bo wiem, jaka jest Elinor i na pewno powiedziałam jej ze sto razy, że nie spotkam się z nią przed domem tej głupiej Marjoribanks, po tym jak mnie potraktowała... nigdy nie przeżyłam czegoś okropniejszego; po prostu umieram z niecierpliwości, żeby ci o tym powiedzieć, jestem pewna, że przyznasz mi słuszność; nie, poczekaj, aż wszystko ci opowiem; próbowałam z nią mieszkać zaraz po przyjeździe, tak jak było umówione, ona miała gotować, a ja miałam zajmować się domem i już myślałam, że w końcu trochę odetchnę po tym wszystkim, co przeżyłam, ale ona tak się zmieniła, zrobiła się kompletnie samolubna, ani krzty współczucia dla innych; powiedziałam jej raz: „Uważam, że mam prawo do odrobiny wyrozumiałości, bo ty przynajmniej dożyłaś swoich lat, a ja jeszcze długo nie powinnam się tu *znaleźć*”; ale oczywiście zapomniałam, że ty o niczym nie wiesz, zamordowali mnie, po pro-

tu zamordowali; ten lekarz nie powinien mnie operować, powinnam jeszcze żyć, a w tym okropnym szpitalu po prostu mnie z a g ł o d z i l i, i nikt nawet do mnie nie podszedł, i...”

Piskliwe, monotonne biadolenie ucichło, kiedy Zjawa wraz z towarzyszącym mu jaśniejącym uosobieniem cierpliwości znalazła się poza zasięgiem głosu.

— Co cię martwi, mój synu? — zapytał mnie Nauczyciel.

— Martwi mnie to, że to biedne stworzenie nie wygląda na kogoś, kto zasłużył sobie choćby w najmniejszym stopniu na potępienie. Ona nie jest zła, jest po prostu starą, głupią, zrzędliwą kobietą, która przyzwyczajoną do narzekania. Zdaje mi się, że nieco do brego traktowania, odpoczynku i zmiana warunków szybko zmieniliby ją na lepsze.

— Kiedyś rzeczywiście tak było, może nawet jest tak nadal. Jeżeli masz rację, na pewno zostanie uzdrowiona. Podstawową kwestią jest jednak to, że nie wiadomo, czy ta kobieta naprawdę j e s t zrzędą.

— Myślałem, że co do tego nie ma żadnych wątpliwości!

— Tak, ale nie o to mi chodziło. Problem polega na tym, czy jest ona jeszcze zrzędą, czy już tylko samym zrzędzeniem. Jeżeli jest jeszcze prawdziwą kobietą, jeżeli został w niej choćby najmniejszy ślad osoby pod całą tą zrzędliwością, można ją będzie przywrócić do życia. Jeżeli pod popiołem zachowała się choć jedna maleńka iskierka, będzie można ją rozdmuchać tak, że cały stos rozżarzy się na nowo. Ale jeżeli nie zostanie już nic oprócz popiołu, nie można bez końca dmuchać nim sobie w oczy. Trzeba go zmieść.

— Ale jak może istnieć samo zrzędzenie bez tego, kto zrzędzi?

— Cała trudność w rozumieniu Piekła polega na



tym, że to, co próbujemy zrozumieć, jest tak bliskie Nicości. Ale na pewno tego doświadczyłeś... zaczyna się zwykle od zrzędlivego nastroju, ale się z nim nie identyfikujesz, może nawet krytykujesz go. Jednak kiedyś, w ponurej chwili możesz zapragnąć tego nastroju, dobrowolnie go przyjąć. Wtedy jeszcze możesz żałować i podnieść się z niego, ale nadejdzie dzień, kiedy nie będziesz już w stanie tego zrobić. Nie będzie już twojego ja, które mogłoby ten nastrój krytykować albo się z niego cieszyć; nie zostanie nic oprócz zrzędzenia, które jak maszyna nie będzie mogło przestać się kręcić. Ale dość już! Przybyłeś tu, aby patrzeć i słuchać. Oprzyj się na moim ramieniu; przejdziemy się trochę.

Posłuchałem. Wspieranie się na ramieniu kogoś starszego niż ja przeniosło mnie w czasy dzieciństwa, a chodzenie stało się teraz całkiem znośne. Prawdę mówiąc, poczułem taką ulgę, że już sobie schlebiałem, iż moje stopy zaczynają twardnieć, dopóki nie przekonałem się, kiedy spojrzałem ukradkiem na ich widmowe kształty, że łatwość chodzenia zawdzięczam jedynie silnemu ramieniu Nauczyciela. Być może również dzięki jego obecności wyostrzyły się pozostałe moje zmysły. Poczułem w powietrzu zapachy, które przedtem uszły mej uwadze, a kraina wokół mnie nabrała nowego uroku. Zobaczyłem teraz szerokie rozlewiska i drobne kwiatki drżące w świeżych powiewach wiatru. W oddali w gęstwinie lasu przemknęły jelenie, a w pewnej chwili do mego towarzysza zbliżyła się, mrużąc, giętka pantera. Zobaczyliśmy także Upiory.

Chyba najbardziej żaloszny widok przedstawiała Zjawa zupełnie niepodobna do tej, którą wystraszyły jednorożce. W przeciwieństwie do niej zdawała się zupełnie nieświadoma swego widmowego wy-

siadu. Kilku Potężnych próbowało z nią rozmawiać i w pierwszej chwili jej zachowanie wobec nich wydawało mi się zupełnie niezrozumiałe. Zjawa wykrywała ledwie widoczną twarz i wyginała w bezsensowny sposób mgliste ciało. Doszedłem w końcu do wniosku, chociaż wydawało mi się to zupełnie niewiarygodne, że uważa się ona wciąż jeszcze za atrakcyjną i próbuje oczarować swoich rozmówców. Biedna kobieta nie potrafiła już prowadzić rozmowy, która nie służyłaby podbijaniu serc. Gdyby rozkładające się ciało wyszło z trumny, wysmarowało szminką odsłonięte dziąsła i próbowało flirtować, efekt nie mógłby być bardziej odrażający. W końcu Zjawa mruknęła pod nosem: „idioty” i zawróciła w stronę autobusu.

Spotkanie to skłoniło mnie, aby zapytać Nauczyciela, co sądzi o wydarzeniu z Jednorożcami.

— Niewykluczone, że pomogło — odparł. — Domyśliłeś się zapewne, że chodziło mu o to, by ją przestraszyć; nie żeby sam strach mógł jej pomóc przestać być duchem, ale jeśli dzięki niemu przestała na chwilę myśleć o sobie, dano to pewną szansę powodzenia. Widziałem już ludzi uratowanych w ten sposób.

Spotkaliśmy także kilka Upiorów, które dotarły w pobliże Nieba tylko po to, aby opowiedzieć Niebianom o Piekło. Było to zjawisko bardzo powszechne. Ci, którzy w ziemskim życiu (podobnie jak i ja) byli nauczycielami, próbowali nawet prowadzić na ten temat wykłady: przywieźli ze sobą grube notesy wypełnione danymi oraz mapy, a jeden z nich miał nawet latarnię magiczną. Niektórzy chcieli koniecznie opowiadać anegdoty o słynnych grzesznikach wszystkich ępok, których udało im się spotkać na dole. Wydawało się jednak, iż większość sądzi, że sam fakt, iż zdołali sprowadzić na siebie tyle cierpienia, daje im po-wód do poczucia wyższości.

— Żyliście pod kloszem! — wykrzykiwali. — Nie wiecie, jak to jest naprawdę. My wam powiemy! I nie będziemy owijać w bawełnę!

Zachowywali się tak, jak gdyby przybyli tu tylko po to, żeby splamić nieskazitelność Nieba obrazami z Pieła rodem. O ile mogłem się zorientować na podstawie własnych obserwacji dolnego świata, wszystkie opisy były tak samo nierzetelne, a ich autorzy zupełnie obojętni na uroki krainy, do której przybyli. Nie przyjmowali żadnych pouczeń, a widząc, że nikt ich nie słucha, jeden po drugim wracali do autobusu.

Ta dziwaczna chęć opowiadania o Piekle okazała się tylko najlżejszą formą bardzo powszechnego wśród Upiorów pragnienia, by r o z s z e r z y ć Pieło i o ile to możliwe, przenieść je z całym dobytkiem do Nieba. Byli tam więc mówcy, którzy cienkimi, przypominającymi piski nietoperzy głosami przynaglali dusze Błogosławionych, aby zrzucili swe kajdany, wyrwali się z więzienia, jakim jest szczęście, własnymi rękami zniszczyli góry i posiadli Niebo „na własność”: Pieło obiecywało swą pomoc. Inni, urodzeni organizatorzy, nastawiali, aby zbudować tamę na rzece, wyciąć drzewa, wytepić zwierzęta, wybudować kolejkę linową, a zamiast tej okropnej trawy, mchu i wrzosu położyć gładki asfalt. Byli także materialści, którzy przekonywali nieśmiertelnych, iż ulegli złudzeniu: życie po śmierci nie istnieje, a otaczający ich kraj jest halucynacją. Były wreszcie zwykłe Upiory; świadome własnego rozkładu postanowiły przyjąć tradycyjną rolę zjaw, ponieważ sądziły, że i w tym kraju zdołają kogoś przestraszyć. Nie miałem pojęcia, że można odczuwać takie pragnienia, ale mój Nauczyciel przypomniał mi o nieobecnej ludzkiej przyjemności, jaka płynie z siania postrachu, a także o powiedzeniu Tacyta: „Starszą z obawy, że ich ktoś przestraszy”.

Kiedy zdegenerowana ludzka dusza odkrywa, że stała się Upiorem, zdaje sobie nagle sprawę: Jestem teraz tym, czego ludzkość bała się od wieków, jestem cienkiem cementarnym, tym przerażającym tworem, który nie ma prawa istnieć, a jednak istnieje”. Strasznie innych wydaje się jej wtedy drogą ucieczki od okropnego losu Upiora, który sam boi się Upiorów — boi się tego, czym sam jest. Nie ma bowiem gorszego strachu niż strach przed samym sobą.

Jednak najbardziej żalony widok przedstawiały groteskowe Zjawy niemal zupełnie pozbawione ludzkich kształtów, maskary, które poniosły trud dotarcia do przystanku — przeszły być może wiele tysięcy kilometrów — i przybyły do Doliny Życia tylko po to, by pokuśtykawszy daleko po bezlitosnej trawie, wyrzucić z siebie wreszcie w ekstazie nienawiści zazdrość i pogardę, jaką żywiły dla radości. Gotowe były znieść wszystkie trudy podróży, aby choć raz, choćby jeden jedyny raz, w blasku wiecznego poranka powiedzieć wreszcie tym nadętym zarozumiałcom, tym lalusiom, tym świętoszkom, tym snobom, tym dorobkiewiczom, co o nich wszystkich myślą.

— Jak oni się tu znaleźli? — zapytałem.

— Bywało, że i tacy się nawracali — odparł Nauczyciel — a ci, których potępienie nie wydawało się tak ostateczne, wracali. Czasem łatwiej jest z tymi, którzy nienawidzą dobra, niż z tymi, którzy nic o nim nie wiedząc, myślą, że już je posiadli.

— Cicho! — odezwał się nagle mój Nauczyciel.

Staliśmy właśnie nieopodal kępy krzaków, zza której dojrzałem jednego z Potężnych Duchów w towarzystwie Upiora. Wyglądało na to, że dopiero co się spotkali. Twarz Upiora wydała mi się znajoma, ale po chwili zrozumiałem, że na Ziemi nie widywałem go

osobiście, a tylko na zdjęciach w prasie. Był kiedyś sławnym artystą. Teraz rozglądał się wokół siebie.

— Boże! — westchnął.

— Co, Boże? — zapytał Duch.

— Jak to: co, Boże?

— U nas ten zwrot zwykle rozpoczyna jakieś zdanie.

— Aha. Chciałem tylko powiedzieć „o rety” czy coś w tym rodzaju. Miałem na myśli... to wszystko. To jest... to jest... chciałbym to namalować.

— Me przejmowałbym się tym na twoim miejscu.

— Słuchaj no, czy to znaczy, że tu nie wolno malować?

— Przede wszystkim trzeba patrzeć.

— Ale ja już zobaczyłem i wiem dokładnie, co chciałbym namalować. Boże! Jaka szkoda, że nie mam tu swoich przyborów!

Duch potrząsnął głową, aż iskry światła posypały się z jego jasnych włosów.

— Malowanie nic by tu nie dało — powiedział.

— Jak to? — spytał Upiór.

— Kiedy malowałeś na Ziemi, przynajmniej z początku robiłeś to dlatego, że udawało ci się w ziemskim pejzażu dojrzeć odbłask Nieba. Twoje obrazy podobały się, ponieważ inni dostrzegli w nich ten sam odbłask Wieczności. Tutaj nareszcie widzisz to wszystko jak na dłoni. Znaki, które widziałeś na Ziemi, stąd właśnie brały swój początek. Nie musisz nam o p o w i a d a ć o tym miejscu, bo i tak je widzimy. Prawdę mówiąc, widzimy je lepiej od ciebie.

— A więc malowanie nie ma już sensu?

— Tego nie powiedziałem. Kiedy w końcu staniesz się Osobą (to normalne, wszyscy musieliśmy przez to przejść), będziesz widział pewne rzeczy lepiej od innych. I jednym z twoich pragnień będzie, aby nam

o nich opowiedzieć. Teraz jednak jest na to za wcześnie- Na razie przyglądaj się. Patrz! On jest nieskończony. Posil się tym, co ci daje.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— Tak, to będzie cudownie — odezwał się w końcu Upiór dość ponuro.

— A więc chodźmy — powiedział Duch, podając mu ramię.

— Jak myślisz, ile to potrwa, zanim będę mógł zacząć malować?

Duch roześmiał się.

— Nigdy, jeżeli nadal będziesz myślał tylko o tym.

— Jak to? — zdziwił się Upiór.

— To proste, jeśli ten kraj interesuje cię tylko dla tego, że chcesz go namalować, to nigdy nie nauczysz się patrzeć na niego jak trzeba.

— Ale przecież prawdziwy artysta patrzy właśnie w ten sposób.

— Nie — odparł Duch. — Zapominasz, że na początku myślałeś inaczej. Twoją pierwszą miłością było światło: pokochałeś farby tylko dlatego, że dzięki nim mogłeś opowiadać o świetle.

— Tak, ale to było wieki temu — powiedział Upiór. — Z tego się wyrasta. Nie widziałeś oczywiście moich późniejszych prac. Z czasem człowiek zaczyna się interesować farbą jako taką.

— Tak, to prawda. Ja też musiałem przez to przejść, wyrwać się z tej pułapki. Atrament, katgut czy farba, wszystko to jest konieczne na Ziemi, ale równocześnie pobudza w niebezpieczny sposób. Gdyby nie Łaska, każdy poeta, muzyk czy malarz porzuciłby w końcu umiłowanie tego, o czym opowiada, na rzecz umiłowania samej sztuki opowiadania, aż w końcu w Głębich Piekiel nie obchodziłby go wcale sam Bóg, a tylko to, co można o Nim powiedzieć. Zainteresowanie

farbą to jeszcze nie koniec. Można upaść jeszcze niżej, nie zajmować się niczym poza własną osobowością, a potem — poza własną reputacją.

— Nie wydaje mi się, żebym miał z tym wiele wspólnego — wtrącił oschle Upiór.

— To cudownie — podjął Duch. — Wielu z nas cierpiało na tę słabość, kiedy tylko przyjechaliśmy tu tutaj. Ale nawet gdybyś i ty miał podobne kłopoty, zo staniesz uleczony, gdy dojdziemy do źródła..

— Do jakiego źródła?

— Bije ono wysoko w górach — odparł Duch — pomiędzy dwoma zielonymi wzgórzami. Jest czyste i zimne, jak Leta. Kiedy napijesz się z niego, zapo mnisz, że twoje dzieła kiedykolwiek były twoją wła snością. Będziesz się nimi cieszył, jakby namalował je ktoś inny: bez pychy, ale i bez fałszywej skromności.

— To świetnie — rzekł Upiór bez entuzjazmu.

— A więc chodźmy — odparł Duch i przeszedł kilka kroków na wschód, a Upiór pokuśtykał wraz z nim, wsparty na jego ramieniu.

— Oczywiście — odezwał się nagle Upiór, jakby do siebie — można tam będzie spotkać wielu intere sujących ludzi...

— Wszyscy wydadzą ci się interesujący.

— Co?... Hm... Tak, oczywiście. Myślałem o lu dziach z naszej branży. Czy spotkamy Claude'a? Albo Cézanne'a? Albo...

— Na pewno, wcześniej czy później, o ile tu są.

— Nie wiesz tego?

— A skąd miałbym wiedzieć? Mieszkam tu dopie ro kilka lat. Prawdopodobieństwo, że mógłbym ich spotkać, jest bardzo małe... sam rozumiesz: jest nas tu dość dużo.

— Ale przecież o tak wybitnych ludziach musisz coś wiedzieć?

.— Ależ tutaj nie są oni wybitni, nie bardziej niż inni. Nie rozumiesz? Chwała oświeca każdego i każdy odbija jej blask jak lustro. Ale samo lustro nie znaczy nic w porównaniu ze światłem, które odbija.

.— Chcesz przez to powiedzieć, że nie ma tu w ogóle sławnych ludzi?

— Wszyscy są sławni. Jedyne, który może wydać słuszny sąd, wie o nich wszystkich, pamięta i uznaje wszystkie ich zasługi.

— No tak, oczywiście, w t y m sensie... — ode zwał się Upiór.

— Nie zatrzymuj się — przerwał mu Duch; próbo wał iść dalej.

— A więc trzeba się zadowolić sławą wśród po tomnych — powiedział wreszcie Upiór.

— Mój drogi — odparł Duch — czyżbyś nie wie dział?

— Nie wiedział o czym?

— O tym, że na Ziemi nikt już o nas nie pamięta?

— Co?! Co to ma znaczyć?! — wykrzyknął Upiór, wyszarpując równocześnie rękę z uścisku przyjaciela. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że ci przekłęci Neo regionaliści wzięli górę?

— Tak, jak Bóg na Niebie! — odparł Duch; zno wu trząśł się ze śmiechu, rozsiewając wokół iskry. — W całej Ameryce i Europie nikt nie da nawet pięciu funtów za żaden z moich, a nawet twoich obrazów. Zupełnie wyszliśmy z mody.

— Muszę natychmiast wracać — wykrztusił Upiór. — Puść mnie! A niech to diabli, muszę wypełnić swój obowiązek wobec Sztuki! Muszę wracać do przyjaciół, napisać jakiś artykuł! Trzeba wydać manifest! Musimy założyć pismo, potrzebny nam rozgłos! To przestało być zabawne!

Nawet nie poczekał na odpowiedź; zniknął.

# 10

Usłyszeliśmy też inną rozmowę: — Nie ma mowy, absolutnie nie ma mowy — mówiła jakaś Zjawa do jednej z Jaśniejących Kobiet — ani mi się śni zostawać, jeżeli mam spotkać Roberta. Oczywiście, jestem gotowa mu przebaczyć, ale nic ponad to. Jak też on się tu znalazł... no, to już twoja sprawa.

— Ale skoro mu przebaczyłaś — odparła jej towarzyszka — bez wątpienia...

— Przebaczyłam rnu, bo to mój chrześcijański obowiązek — odparła Zjawa. — Są jednak rzeczy, których się nie zapomina.

— Nie rozumiem jednak... — zaczęła Kobieta, ale Zjawa przerwała jej z uśmiechem:

— No właśnie. Nigdy nic nie rozumiałaś. Zawsze byłaś zdania, że Robert nie mógłby zrobić nic złego. Wiem to doskonale. Czy mogłabyś nie przerywać mi przynajmniej przez chwilę? Nie masz pojęcia, co ja przeszedłam z tym twoim kochanym Robertem. I ta nie wdzięczność! Przecież to ja zrobiłam z niego mężczyznę! Poświęciłam dla niego całe moje życie! I jak mi się za to odplacił? Kompletnym egoizmem. Nie, posłuchaj. Kiedy wyszłam za niego, zarabiał nędzne sześć set funtów rocznie. I zapamiętaj sobie moje słowa, Hildo: zarabiałby tyle aż do śmierci, gdyby nie ja. To ja musiałam go popychać na każdym kroku. Nie miał za grosz ambicji, był bezwładny jak worek węgla. Musiałam dosłownie zamęczać go, żeby wziął tę dodatkową

pracę w ministerstwie, chociaż potem okazało się, że od tego wszystko się zaczęło. Nie masz pojęcia, jak leniwi są mężczyźni! Powiedział wtedy, wyobraź sobie, że nie może pracować więcej niż trzynaście godzin na dobę! Zupełnie jakbym ja nie pracowała znacznie dłużej. Bo moja praca nie kończyła się, gdy on wracał do domu. Musiałam zajmować się nim cały wieczór, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Gdybym mu pozwoliła, po obiedzie siedziałby tylko obrażony w swoim fotelu. To ja musiałam wyciągać go z odrętwienia i zabawiać rozmową. I to bez najmniejszej pomocy z jego strony. Czasem nie zadawał sobie nawet trudu, żeby mnie słuchać. Mówiłam mu, że, moim zdaniem, dobre wychowanie, jeżeli już nie co innego... zapomniał, że pochodziłam jednak z dobrej rodziny, nawet jeżeli wyszłam za niego. Urabiałam sobie dla niego ręce do łokci, a on w ogóle tego nie zauważał. Czasem całymi godzinami układałam kwiaty tylko po to, żeby rozweselić jakoś ten nasz nędzny, mały dom, a Robert, zamiast mi podziękować, wiesz, co mówił? Że wolałby, abym nie zapychała mu biurka kwiatami, kiedy on chce pracować. A jednego wieczoru zrobił mi straszną awanturę o to, że rozlała mi się woda z wazonu na jakieś jego papiery, chociaż nie miało to najmniejszego znaczenia, bo to w ogóle nie były służbowe papiery. Wpadł wtedy na idiotyczny pomysł napisania książki... jakby o n potrafił coś napisać! W końcu wyleczyłam go z tego.

Nie, Hildo — ciągnęła Zjawa — musisz mnie wysłuchać. Jak ja harowałam, przyjmując gości! Robert uważał, że będzie zupełnie w porządku, jeśli wyniknie się sarn od czasu do czasu na spotkanie ze swoimi „starymi przyjaciółmi”, jak ich nazywał... i zostawi mnie, żebym sama wynajdowała sobie rozrywki! Ale ja wiedziałam od początku, że ci jego przyjaciele to nic do-

brego. „Nie, Robercie”, powiedziała mu, „twoi przyjaciele są teraz moimi przyjaciółmi. Uważam za swój obowiązek gościć ich t u t a j , bez względu na to, czy jestem zmęczona i czy stać nas na to, czy też nie”. Myślisz może, że to wystarczyło? Przez jakiś czas jednak do nas przychodzili. Musiałam wtedy użyć całej swojej przebiegłości; kobieta z głową na karku dobrze wie, kiedy wtrącić odpowiednie słówko. Chciałam, żeby Robert zobaczył ich w innym świetle. W moim salonie czuli się jakoś nieswojo i nie wypadali najlepiej. Czasem nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Oczywiście, Robert nie był specjalnie zadowolony z tej kuracji, ale w końcu wyszło mu to na dobre. Po roku nie przyjaźnił się już z nikim z tej paczki.

A potem dostał tę nową pracę. To był wielki krok naprzód. Ale jak myślisz? Zamiast zdać sobie sprawę, że teraz nareszcie powinniśmy trochę rozwinąć skrzydła, powiedział po prostu: „A teraz, na miłość Boską, należy się nam chyba trochę spokoju”. Mało brakowało, a byłabym go wtedy zostawiła, ale wiedziałam, co do mnie należy. *Zawsze* robiłam to, co do mnie należało. Nie masz pojęcia, ile wysiłku kosztowało mnie namówienie go na większy dom, a potem znalezienie tego domu. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby tylko on przyjmował wszystko jak należy, gdyby potraktował to jak świetną zabawę. Gdyby tylko był inny, naprawdę byłoby zabawnie czekać na niego na progu domu, kiedy wracał z biura, i mówić „Chodź szybko, nie ma czasu na obiad. Właśnie dowiedziałam się o domu niedaleko Watford. Mam tu klucze, zdążymy wrócić przed pierwszą”. Ale z nim? Po prostu rozpacz! Twój wspaniały Robert już wtedy zaczął przypominać tych podtatusiałych facetów, którym zależy tylko i wyłącznie na jedzeniu.

W końcu udało mi się przekonać go do nowego

domu. Tak, wiem, że był trochę drogi jak na nasze możliwości, ale przed Robertem otwierały się akurat zupełnie nowe możliwości. A poza tym mogłam teraz wydawać porządne przyjęcia. Nie dla przyjaciół w jego typie, o, nie! Robiłam to wszystko ze względu na niego. Jeżeli kiedykolwiek miał przyjaciół, którzy mogli mu w czymś pomóc, zawdzięcza to mnie. Rzecz jasna, musiałam się też odpowiednio ubierać. To mogły być najszcześniejsze lata naszego życia, a jeżeli tak nie było, może za to podziękować tylko sobie. Doprowadzał mnie do szału, po prostu do szału! Zawziął się, żeby stać się starym, gburowatym zrzędą. Zupełnie oklapł. Gdyby zadał sobie trochę trudu, mógłby wyglądać o wiele młodziej. Nie musiał się garbić, jestem pewna, że mówiłam mu o tym wystarczająco często. Poza tym był najżałośniejszym panem domu, jakiego widziałam. Kiedy wydawaliśmy przyjęcie, wszystko było na mojej głowie — Robert po prostu psuł wszystkim nastrój. Powiedziałam mu (a możesz być pewna, że powtórzyłam mu to nie raz), iż nie zawsze był taki. Przedtem interesowało go wiele rzeczy i całkiem łatwo nawiązywał znajomości. „Co się z tobą, u licha, dzieje?” — mówiłam mu często. Ale nawet przestał mi odpowiadać. Siedział tylko i wpatrywał się we mnie tymi swoimi wielkimi oczami (przez niego znienawidziłam wszystkich mężczyzn o ciemnych oczach) i, teraz to rozumiem, po prostu mnie nienawidził. Taka była moja nagroda za wszystko, co zrobiłam: podła, bezsensowna, wściekła nienawiść, i to właśnie wtedy, gdy zarabiał więcej niż mu się kiedykolwiek śniło! Mówiłam mu: „Robercie, ty po prostu dziadziejesz!” Młodszy mężczyźni, którzy przychodzili do naszego domu, to nie m o j a wina, że „oleli mnie niż mojego niedźwiedzowatego męża, śmiali się z niego.

Wypełniłam swój obowiązek do końca. Dosłownie z m u s i ł a m Roberta, żeby zażywał ruchu; przecież to dla niego kupiłam tego wielkiego doga. Nie przestawałam wydawać przyjęć. Zabierałam go na najwspanialsze wakacje. Pilnowałam, żeby nie zbyt dużo. Kiedy sprawy wyglądały już całkiem bez-nadziejnie, namawiałam go nawet, żeby wrócił do pisanego. Nie mogło mu to już wtedy zaszkodzić. Co mogłam poradzić na to, że w końcu miał to załamanie nerwowe? Mam czyste sumienie. Wypełniłam wobec niego swój kobiecy obowiązek najlepiej jak można. A więc widzisz, dlaczego nie mogłabym...

Chociaż... nie wiem. Chyba się rozmyśliłam. Zamierzam złożyć im uczciwą propozycję, Hildo. Nie spotkam się z nim, jeżeli miałyby to oznaczać tylko spotkanie i nic więcej. Ale jeżeli dadzą mi wolną rękę, zajmę się nim znowu. Raz jeszcze podźwignę mój ciężar. Niech tylko dadzą mi wolną rękę. Tutaj na pewno nie zabraknie mi czasu i myślę, że potrafię jeszcze wyprowadzić go na ludzi. Gdzieś, gdzie moglibyśmy być sami, tylko on i ja. Czy to nie wspaniały pomysł? On nie potrafi być sam. Pozwól mi znowu wziąć się za niego! Potrzeba mu twardej ręki, znam go lepiej niż ty. Co? Nie, oddaj go mnie, słyszysz? Nie konsultuj się z nim, tylko mi go oddaj. Jestem jego żoną, tak czy nie? Właściwie to był dopiero początek; jest jeszcze mnóstwo, mnóstwo rzeczy, które chciałabym z nim zrobić. Nie, posłuchaj, Hildo, proszę! Proszę cię, jestem taka samotna. Muszę mieć kogoś, kogo... kim mogłabym się zajmować. Tam na dole jest po prostu okropnie. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nie mogę nikogo zmienić. To straszne widzieć ich wszystkich i nie móc nic z nimi zrobić. Oddaj mi go. Dlaczego zawsze wszystko musi być tak, jak on chce? To mu zaszkodzi. To niesprawiedliwe. Chcę mieć Roberta.

Jakim prawem trzymasz go z dala ode mnie? Nienawidzę cię. Jak mogę się mu odplacić, jeżeli nie chcesz mi go oddać?

Zjawa, która podczas tej przemowy urosła niby płomień dogasającej świecy, nagle zniknęła z trzaskiem. Kwaśny, suchy odór zawisł na chwilę w powietrzu, a potem nie zostało po niej ani śladu.

# 11

Następne spotkanie było jednym z najbardziej bolesnych, jakie widzieliśmy. Brała w nim udział Zjawa o wyglądzie kobiety i Jaśniejący Duch, który najwyraźniej był kiedyś jej bratem. Nie mogli się spotkać wcześniej niż na chwilę przed tym, zanim naknęliśmy się na nich, bo Zjawa mówiła właśnie z nie skrywanym żalem:

— Ach... a więc to ty, Reginaldzie?

— Tak, moja droga — odparł Duch. — Wiem, że spodziewałaś się kogoś innego. Czy nie mogłabyś... mam nadzieję, że na razie cieszysz się chociaż troszeczkę ze spotkania ze mną.

— Przypuszczałam, że to Michael wyjdzie mi na spotkanie — odparła Zjawa i dodała zaraz niemal ze złością: — Oczywiście, on jest tutaj?

— Jest tam, wysoko w górach.

— Dlaczego nie wyszedł mi na spotkanie? Czyżby nie wiedział?

— Moja droga (nie martw się, niedługo zrozumiesz wszystko), nic by to nie dało. Przynajmniej na razie. Michael nie mógłby cię zobaczyć ani usłyszeć. W twoim obecnym stanie byłabyś dla niego zupełnie niewydziałna. Ale wkrótce nieco cię wzmocnimy.

— Myślałam, że skoro ty możesz mnie zobaczyć, to równie dobrze mógłby mnie zobaczyć mój własny syn!

— Nie zawsze tak się dzieje. Ja jestem specjalistą w tego rodzaju pracy.

— A więc traktujesz to jak pracę, co? — docięła mu Zjawa.

Po chwili dodała:

— No dobrze. Kiedy pozwolą mi go zobaczyć?

— Ależ Pam, tu nie chodzi o żadne pozwolenia. Jak tylko będzie mógł cię zobaczyć, zrobi to na pewno. Musisz tylko trochę nabrać ciała.

— Jak? — zapytała Zjawa. Jej krótkie pytanie za brzmiało twardo i groźnie.

— Obawiam się, że pierwszy krok będzie trudny — odparł Duch — ale potem pójdzie jak z płatka. Aby stać się widzialną dla Michaela, musisz się nauczyć pragnąć kogoś innego poza nim. Nie mówię „bardziej niż jego”, jeszcze nie. Przyjdzie na to czas później. Wystarczy, że odrobinę zapragniesz Boga, a już zaczniesz się zmieniać.

— Och, masz na myśli religię i tak dalej? To chyba nie najodpowiedniejsza chwila na takie pouczenia... i to od ciebie! Ale niech ci będzie. Zrobisz wszystko, co konieczne. Co mam robić? No, prędzej. Im szybciej zacznę, tym szybciej pozwolą mi zobaczyć mojego chłopca. Jestem gotowa.

— Ależ, Pam, pomyśl! Czy nie rozumiesz, że dopóki nie zmienisz swojego nastawienia, nic nie można zacząć? Traktujesz Boga jako środek do zdobycia Michaela. A przecież nigdy nie staniesz się bardziej prawdziwa, jeśli nie nauczysz się pragnąć Boga dla niego samego.

— Nie mówiłbyś w ten sposób, gdybyś był matką.

— Rzeczywiście, gdybym był tylko matką. Ale nie można być tylko matką. Jesteś matką Michaela jedynie dlatego, że najpierw zostałaś stworzona przez poga. Twój związek z Nim jest bliższy i wcześniejszy niż z synem. Nie, Pam, posłuchaj! On też kocha. On też cierpiał. On też musiał długo czekać.